

Craven Sara

Miesiąc w Toskanii



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szklane drzwi do kliniki San Francisco otworzyły się bezszelestnie. Wszystkie głowy odwróciły się, by spojrzeć na mężczyznę, który wychynał z ciemności i podszedł do recepcji.

Jeśli nawet Lorenzo Santangeli miał świadomość zainteresowania, które wzbudził, i zdawał sobie sprawę, że jest tam zdecydowanie za dużo kobiet jak na tę porę nocy, nie dał tego po sobie poznać.

Szczupłą wysoką sylwetkę okrywał elegancki wieczorowy strój, ale koszula była rozchełstana pod szyją, a czarny krawat został niedbale wepchnięty do kieszeni marynarki.

Jedna z pielęgniarek, widząc jego rozczochrane włosy, szepnęła do koleżanki, że wygląda, jakby właśnie wstał z łóżka, a ona potaknęła z westchnieniem.

Nie był klasycznie przystojny, ale jego podłużna twarz, wyraźne kości policzkowe, złotobrązowe oczy i zmysłowe usta miały w sobie dynamikę, która wykraczała poza zwykłą atrakcyjność. Podobał się wszystkim kobietom.

Fakt, że zmarszczył brwi, a wargi wykrzywił mu ponury grymas, nie umniejszał jego uroku.

Wyglądał jak kochający syn nieoczekiwanie wezwany do łóżka chorego ojca.

Kiedy dyrektor kliniki, *signore* Martelli, wyszedł ze swojego gabinetu, by się z nim przywitać, tłum szybko się rozproszył.

Renzo nie bawił się w uprzejmości. Zapytał głosem zabarwionym niepokojem:

- Jak się czuje mój ojciec?

- Odpoczywa - odparł starszy mężczyzna.

- Na szczęście karetka została wezwana natychmiast, tak więc od razu zaaplikowaliśmy odpowiednie leczenie. - Uśmiechnął się uspokajająco.

- To nie był poważny atak, spodziewamy się, że markiz całkowicie odzyska zdrowie.

Renzo westchnął z ulgą.

- Czy mogę się z nim zobaczyć?

- Oczywiście. Zaprowadzę pana. - *Signore* Martelli nacisnął guzik windy. - Proszę pamiętać, że ojciec powinien unikać stresu. Mówiono mi, że trochę się denerwował, czekając na pana. Cieszę się, że już pan jest, powinien się teraz uspokoić.

- Ja też jestem zadowolony, *signore*. - Ton był uprzejmy, ale nieco wyniosły. Zdawał się ostrzegać, że dalej lekarz nie powinien się posuwać.

Dyrektor kliniki słyszał, że signor Lorenzo potrafi budzić respekt, a to jedno zdanie potwierdzało tę opinię. Zamilkł więc dyskretnie.

Renzo spodziewał się zastać pokój ojca pełen lekarzy i pielęgniarek, a samego chorego pod wpływem środków uspokajających, podłączonego do licznych

monitorów.

Tymczasem Guillermo Santangeli był sam, siedział w łóżku podparty poduszkami, we własnej piżamie i spokojnie przewracał kartki magazynu o międzynarodowych finansach. Na stoliku obok zamiast maszyny medycznej stał ogromny bukiet pachnących kwiatów.

Kiedy zdumiony Renzo stanął w drzwiach, Guillermo spojrzął na niego znad okularów.

- Ach! *Finalmente* - nareszcie. Niełatwo cię wytropić, synu.

Zdenerwowany, pomyślał Renzo, to przesada, chociaż lekki niepokój w głosie ojca był wyraźny.

Podszedł powoli do łóżka.

- No, ale jestem, tato. I dzięki Bogu ty też. Powiedziano mi, że miałeś zawał.

- Oni to nazywają „epizodem”. Niepokojącym, ale łatwym do opanowania. Mam tu wypoczywać przez kilka dni, a potem pozwolą mi wrócić do domu. - Westchnął. - Ale muszę zażywać leki, no i nie wolno mi palić cygar ani pić brandy. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Jak chodzi o cygara, to świetnie - powiedział Renzo żartobliwym tonem, wziął dłoń ojca i musnął ją wargami.

Starszy pan Santangeli się skrzywił.

- Ottavia też tak uważa. Przed chwilą wyszła. Muszę jej podziękować za piżamę i kwiaty. I za to, że tak szybko wezwała pomoc. Właśnie skończyliśmy kolację, gdy się źle poczułem.

Renzo uniósł brwi.

- Tak więc i ja jestem jej wdzięczny. Mam nadzieję, że *signora* Alesconi nie wyszła z mojego powodu.

- To bardzo taktowna kobieta - stwierdził jego ojciec. - Wiedziała, że chcemy porozmawiać bez świadków. Nie było żadnego innego powodu. Zapewniłem ją, że już nie postrzegasz naszego związku jako zdradę pamięci twojej matki.

Uśmiech Renzo nieco przygał.

- *Grazie*. Dobrze, że tak jej powiedziałaś. - Zawahał się. - To mogę się teraz spodziewać macochy?

Jeśli chcesz... sformalizować sytuację... będę się tylko cieszył...

Guillermo uniósł dłoń.

- O tym nie ma mowy. Przedyskutowaliśmy tę sprawę i doszliśmy do wniosku, że obydwójce zbyt cenimy swoją niezależność i nie chcemy niczego zmieniać.

- Zdjął okulary, po czym ostrożnie położył

je na stoliku obok łóżka. - A skoro mówimy o małżeństwie, gdzie jest twoja żona?

Sam się w to wpakowałem, pomyślał Renzo, przeklinając w duchu. A głośno oznajmił:

- W Anglii, tato. Dobrze o tym wiesz.

- Ach tak. - Ojciec kiwnął głową z namysłem.

- Tam, dokąd pojechała tuż po miesiącu miodowym.

I dotąd nie wróciła, o ile się nie mylę.

Renzo zacisnął usta.

- Uważałem, że okres dostosowawczy może się przydać.

- Ciekawa decyzja - odezwał się Guillermo.

- Zważywszy na niecierpiące zwłoki powody twojego małżeństwa. Zapominasz, drogi Lorenzo, że jesteś ostatni w linii, a ponieważ, zbliżając się do trzydziestki, nie miałeś zamiaru porzucić stanu kawalerskiego, musiałem ci uzmysłwić, że masz za zadanie spłodzić dziedzica, który

będzie nosił nasze nazwisko. Umilkł na chwilę.

- Wydawało mi się, że to zaakceptowałeś. A nie mając żadnej innej kandydatki, zgodziłeś się na ślub z dziewczyną, którą wyznaczyła ci twoja świętej pamięci matka - z jej ukochaną chrześnicą, Marisą Brendon. Chcę mieć pewność, że mimo swojego zaawansowanego wieku dobrze zapamiętałem szczegóły tej umowy, rozumiesz? - zakończył beznamiętnie.

- Tak. - Renzo zacisnął zęby. Zaawansowany wiek? - pomyślał drwiąco. - Jak długo żyją krokodyle? -

Masz oczywiście rację.

- No i minęło osiem miesięcy, a ty ciągle nie masz dla mnie dobrych wiadomości. W każdych okolicznościach trzeba to uznać za rozczarowanie, ale zważywszy na wypadki z dzisiejszego wieczoru, problem następnego pokolenia staje się naprawdę nagłący. Od dzisiaj muszę bardziej na siebie uważać, twierdzą lekarze. Żyć spokojniej. Inaczej mówiąc, uświadomiono mi własną śmiertelność. Chciałbym wziąć w ramiona mojego pierwszego wnuka, zanim umrę.

Renzo poruszył się niespokojnie.

- Tato, przecież będziesz żył jeszcze wiele lat, obaj to wiemy.

- Mam nadzieję - Guillermo przytaknął energicznie. - Ale nie o to chodzi. - Oparł się o poduszki i dodał: - Twoja żona nie może dać ci dziedzica, *figlio mio*, jeśli nie mieszkasz z nią pod tym samym J dachem. O dzieleniu łóża nie mówiąc. A może odwiedzasz ją w Londynie, by wypełnić swoje obowiązki małżeńskie?

Renzo wstał z krzesła, podszedł do okna, uniośł firankę i zapatrzył się w ciemność. Obraz bladej dziewczęcej twarzy o pustych, pozbawionych łez oczach

pojawił się przed nim, a w duszy zrodziło się uczucie bliskie wstydu.

- Nie - odezwał się w końcu. - Nie odwiedzam jej.

- A to dlaczego? - zapytał ojciec. - Fakt, twoje małżeństwo zostało zaaranżowane, tak samo jak moje. Myśmy się szczerze pokochali z twoją matką. A ty dostałeś młodą, uroczą dziewczynę, niewątpliwie niewinną. Którą na dodatek znałeś niemal całe życie. Trzeba było powiedzieć, jeśli ci nie odpowiadała.

Renzo odwrócił się od okna i rzucił ojcu ironiczne spojrzenie.

- A nie przyszło ci do głowy, tato, że to Marisa mnie nie chce?

- *Che sciocchezze!* Co za bzdura! Kiedy mieszkała u nas jako dziecko, wyraźnie było widać, że cię uwielbia.

- Niestety teraz jest już starsza i jej uczucia do mnie są całkiem inne - przyznał Renzo sucho. - Zwłaszcza gdy chodzi o realia małżeństwa.

Guillermo zasznurował usta w irytacji.

- Co ty wygadujesz? Że mężczyzna o takim doświadczeniu z kobietami jak ty nie potrafi uwieść własnej żony? Dawanie rozkoszy powinno stać się twoim obowiązkiem, trzeba było wykorzystać miesiąc miodowy tak, żeby znowu zakochała się w tobie. - Umilkł na chwilę. - W końcu nikt jej nie zmuszał do wyjścia za męża.

Renzo spojrzał na ojca spokojnie.

- Obaj wiemy, że to nieprawda. Kiedy wredna kuzynka uzmysłowiła jej, ile zawdzięcza naszej rodzinie, nie miała wyboru.

Guillermo zmarszczył brwi.

- Nie powiedziałaś jej, że to było życzenie twojej umierającej matki, żeby nadal otrzymywała finansowe

wsparcie?

- Próbowałem, ale bezskutecznie. Wiedziała, że mama pragnęła naszego ślubu. Dla niej to było częścią tej samej nie najładniejszej transakcji. A wspomniana kuzynka nie omieszkała jej uświadomić, że w chwili, gdy się jej oświadczyłem, miałem kochankę. Po takich rewelacjach miesiąc miodowy nie mógł być udany.

- Wygląda na to, że ta baba ma wiele na sumieniu - ton Guillerma był lodowaty. - Ty jednak, mój synu, postąpiłeś głupio, nie zrywając z Lucią, zanim zaangażowałeś się w sprawę małżeństwa.

- Gdyby to było tylko głupie, mógłbym z tym żyć - oznajmił Renzo z goryczą. - Ale byłem także niemący, a tego nie mogę sobie darować.

- Rozumiem. To niedobrze, ale najważniejsze pytanie brzmi: czy twoją żonę można przekonać, by ci wybaczyła?

- Kto wie? - Renzo bezradnie rozłożył ręce.

- Myślałem, że odległość i czas spędzony osobno, by zastanowić się nad tym, czego się podjęliśmy, coś zmieni. Na początku pisywałem do niej regularnie, dzwoniłem i zostawiałem wiadomości. Ale nigdy nie było odpowiedzi. A w miarę upływu czasu nadzieja na jakieś rozwiązanie coraz bardziej się oddalała. - Zamilkł, po czym dodał głosem bez wyrazu: - Obiecałem sobie, że nie będę błagał.

Guillermo złożył dłonie i przyglądał się im bardzo uważnie.

- Oczywiście rozwód nie wchodzi w rachubę

- odezwał się w końcu. - Ale z tego, co mi mówisz, wygląda na to, że są podstawy, by anulować małżeństwo.

- Nie! - wykrzyknął Renzo. - Nie zrozum mnie źle. Małżeństwo istnieje. I Marisa jest moją żoną. Nic tego nie

może zmienić.

- To ty tak twierdzisz. Ale prawdopodobnie się mylisz. Wczoraj odwiedziła mnie twoja babcia i doniosła mi, że twój związek z Dorią Venucci jest otwarcie omawiany.

- Nonna Teresa - Renzo zmełł w zębach to imię, jakby to było przekleństwo. - Skąd to wielkie zainteresowanie wszystkimi szczegółami mojego życia, zwłaszcza tymi, które uważa za najmniej chwalebne? Jak kobieta z takim charakterem mogła mieć taką łagodną, kochającą córkę, jak moja matka?

- Dla mnie to też zawsze stanowiło zagadkę - przyznał Guillermo. - Ale w tym wypadku jej skłonność do plotek może się przydać. Bo to tylko kwestia czasu i ktoś powie Antoniowi Venucciemu, jak jego małżonka spędzała czas, gdy on był w Wiedniu.

Zobaczył, że jego syn unosi brew, i pokiwał głową.

- A to, mój drogi Lorenzo, zmieniliby wszystko, zarówno dla ciebie, jak i dla twojej nieobecnej żony. Ponieważ skandal, który by wtedy wybuchł, zrujnowałby jakiegokolwiek szanse na pogodzenie się z nią - o ile tego chcesz, oczywiście.

- To się musi stać - odparł Renzo cicho. - Nie mogę się zgodzić, by obecna sytuacja się przeciągała. Po pierwsze, zaczyna mi brakować wyjaśnień, dlaczego jej przy mnie nie ma. Po drugie, zgadzam się, że cel naszego małżeństwa musi zostać zrealizowany bez dalszej zwłoki.

- *Dio mio!* - jęknął Guillermo słabym głosem.

- Mam nadzieję, że do swojej żony zwrócisz się w bardziej kuszących słowach! Inaczej - ostrzegam cię mój synu - poniesiesz porażkę.

Uśmiech Renzo nie był łagodny.

- Nie. Nie tym razem. Obiecuję ci.

Do swojego mieszkania jechał zamyślony. Należało do niego górne piętro dawnego *palazzo*. Chociaż doceniał jego wdzięk i elegancję, używał go tylko jako *pied a terre* podczas pobytów w Rzymie.

Za prawdziwy dom uważał stary, imponujący budynek na tokańskiej wsi, gdzie się urodził i gdzie zamierzał rozpocząć swoje małżeńskie życie. Część domu została specjalnie przygotowana tak, by mieli dość przestrzeni i prywatności.

Pamięta, że pokazał to Marisie przed ślubem, pytając, czy coś chciałaby zmienić, ale ona odparła z wahaniem, że wszystko jest „bardzo ładne” i odmówiła dalszej rozmowy na ten temat. Szczególnie pominęła milczeniem sypialnie połączone drzwiami.

Jeśli miała jakieś zastrzeżenia do zamieszkania razem z przyszłym teściem, też się do tego nie przyznała. Przeciwnie - bardzo lubiła *zio* - wujka Guillerma, jak prosił, by go nazywała.

No ale, pomyślał Renzo, marszcząc brwi, poza zgodą na małżeństwo, wyrażoną drewnianym gło-sikiem, niewiele się do niego odzywała. Powinien to zauważyć, ale był zbyt zajęty.

Poza tym wiedział, że ona nie mówi po próżnicy. Pamiętał ją jako milczące dziecko przytłoczone otoczeniem, a potem jako chudą, cichą nastolatkę. Wtedy peszyła go uwielbieniem, które niezręcznie starała się ukryć.

Nawet w czasie chrztu w Londynie nie płakała. Brał w nim udział - naburmuszony dziesięciolatek z niechęcią przyglądający się, jak Maria Santangeli spogląda w zachwycie na koronkowe zawiniątko trzymane w

ramionach.

Jego matka poznała Lisę Cornell w ekskluzywnej szkole zakonnej, do której obie uczęszczały w Rzymie. Ich przyjaźń nie osłabła mimo upływu czasu i odległości, która je dzieliła.

Ale podczas gdy Maria wyszła za mąż tuż po szkole i rok później została matką, Lisa osiągała sukcesy w dziennikarstwie, zanim spotkała Aleca Brendona, znanego producenta telewizyjnych filmów dokumentalnych.

A kiedy urodziła się jej córka, tylko Maria mogła być matką chrzestną dziewczynki. Co ją oczywiście uszczęśliwiło. Imię „Marisa” to krótsza forma Maria Lisa.

Renzo wiedział, że chociaż rodzice bardzo go kochają, ubolewają nad faktem, że w pokoju dziecinnym w Villa Proserpina nie zagościło jeszcze jedno dziecko. Chrześciana zajęła w sercu jego matki miejsce nigdy nienarodzonej córki.

Nie był pewny, kiedy Maria i Lisa Brendon zaczęły planować małżeństwo swoich dzieci. Pamiętał tylko, że ku swojemu oburzeniu ten pomysł wszedł do rodzinnego folkloru jako prawdopodobieństwo, gdy miał kilkanaście lat.

Wymyślił nawet dla Marisy obraźliwe przezwisko *la cigogna* - bocian, drwiąc z jej długich nóg i nosa, który dominował w drobniutkiej twarzy, aż matka musiała go przywołać do porządku z niespotykaną u niej surowością.

Jednak to, że Marisę poważnie traktuje się jako jego przyszłą żonę, stało się dla niego oczywiste przed sześcioma laty, gdy jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

Okazało się bowiem, że państwo Brendon zawsze żyli ponad stan, a Alec zapomniał odnowić polisę na życie,

pozostawiając tym samym swoją córkę bez grosza.

W pierwszej chwili Maria chciała ściągnąć Marisę do Włoch i chować ją jak członka ich rodziny, ale dotąd pobłażliwy Guillermo tym razem się sprzeciwił. Powiedział, że jeśli jej plan ożenienia z nią Lorenza ma się powieść - a przecież nie ma gwarancji, że to się zdarzy - będzie lepiej, jeśli dziewczyna dokończy swoją edukację w Anglii, na ich koszt. Inaczej Renzo tak się do niej przyzwyczai, że będzie ją traktował jak irytującą młodszą siostrę.

Pani Santangeli niechętnie na to przystała, a chłopak zapomniał o całym tym śmiesznym pomysle.

Zajął się swoją karierą zawodową, skończył studia z wyróżnieniem, po czym dołączył do renomowanego Santangeli Bank, gdzie docelowo miał zastąpić swojego ojca jako prezes zarządu. Dzięki mieszaninie wyczucia i ciężkiej pracy dowiódł, że zasługuje na najwyższe stanowisko.

Zdawał sobie sprawę, że za jego plecami młodzi pracownicy nazywają go *il magnifico* - wspaniały, z powodu imiennika, Lorenza de Medici, ale traktował to z humorem.

Cieszył się życiem. Miał trudną pracę, która dawała mu radość i go ciekawiła, pozwalała też jeździć po całym świecie. A ponieważ dynastyczne obowiązki zdawały się ledwie majaczyć na horyzoncie, spotykał się z kobietami, które doskonale wiedziały, że związek z nim nigdy nie zakończy się małżeństwem.

Nigdy nie popełnił największego błędu - nie wyznał żadnej ze swoich *innamorati*, że ją kocha. Nawet w chwili najdzikszej namiętności.

Trzy lata temu w jego przyjemne życie wkradła się

tragedia - matka zachorowała nagle. Złośliwy, nieoperacyjny rak zabił ją ledwie sześć tygodni po diagnozie.

- Renzo, *carissimo mio*. - Jej dłoń, obciążona cienką jak papier skórą, spoczęła na jego ręce. - Obiecuj mi, że moja mała Marisa będzie twoją żoną.

A on, rozdarty między żalem i niedowierzaniem wobec pierwszego prawdziwego nieszczęścia w życiu, dał jej słowo, przypieczętowując tym samym swój los.

Otwierając drzwi do mieszkania, usłyszał telefon. Zignorował go - wiedział dobrze, kto dzwoni.

Klinika miała numer jego komórki, którego Dorii Venucci nie dał.

Wszedł pod prysznic, puścił na siebie silny strumień wody. Chciał usunąć podenerwowanie i rozeznac się w splełanych emocjach.

Nie może zaprzeczyć, że ostatnio, poza godzinami pracy, nie ma najlepszych kontaktów z ojcem.

Sądził, że to z powodu swojej dezaprobaty wobec trwającego od roku związku Guillerma z Ottavią Alesconi. Na początku uważał, że to za wcześnie po śmierci matki, i dawał temu jasno wyraz.

Ale czy ma prawo przeciwstawiać się dążeniu swojego ojca do szczęścia? Signora jest uroczą, kulturalną kobietą, bezdzietną wdową, nadal prowadzącą firmę, którą założyła razem z nieżyjącym już mężem. Kimś, kto z przyjemnością dzieli z Guillemem rozrywki, nie roszcząc sobie pretensji do zostania markizą.

Ojciec zawsze kipiał energią, nigdy nie chorował, dlatego dzisiejszy atak musiał ją zaszokować, pomyślał Renzo, i postanowił zadzwonić do niej, by podziękować za uratowanie Guillerma. Przy okazji da jej do zrozumienia,

że pozbył się zastrzeżeń co do jej roli u boku jego ojca.

Poza tym skoro jego własne życie osobiste trudno nazwać olśniewającym sukcesem, nie wolno mu krytykować innych. I może to właśnie gorzki żal za wmanewrowanie w małżeństwo leżał u podstaw ochłodzenia relacji między ojcem i synem.

Nie mogę sobie pozwalać na dłuższe animozje, doszedł do wniosku, gdy wyszedł spod prysznic.

Muszę odsunąć przeszłość od siebie. Dzisiejszy wieczór istotnie trzeba uznać za ostrzeżenie. Na wiele sposobów. Najwyższy czas porzucić kawalerskie życie i wejść w rolę męża, a w odpowiednim czasie i ojca.

Gdyby tylko udało mi się nakłonić żonę do współpracy! - myślał, spoglądając w zadumie w lustro.

Jeśli ma być szczery, nigdy specjalnie nie zabiegał o kobiety. Nie był z tego specjalnie dumny, niemniej takie są fakty. Co za ironia, że jego żona jako jedyna przyjmowała jego zaloty w najlepszym razie z obojętnością, jeśli nie wrogością.

Uświadomił sobie, że nie będzie mu łatwo, podczas pierwszej wizyty w domu swojej kuzynki w Londynie. Pojechał tam rzekomo po to, by zaprosić Marisę do Toskanii na przyjęcie, które jej ojciec planował wydać z okazji jej dziewiętnastych urodzin.

Julia Graton przyjęła go sama. Twardym wzrokiem dokonywała oględzin, a ich wynik był krytyczny.

- No to nareszcie się zdecydowałaś na zaloty, *signore*. Już myślałam, że to się nigdy nie zdarzy.

Wysłałam Marisę na górę, żeby się przebrała - dodała. - Może tymczasem napijesz się kawy?

Kiedy drzwi do salonu się otworzyły, po niezadowoleniu malującym się na twarzy kuzynki

zorientował się, że dziewczyna jest w tym samym ubiorze co przedtem.

Marisa nadal okazywała nieśmiałość, wbiła wzrok w dywan, nawet na niego nie spojrzawszy. Poza tym była odmieniona. Na szczęście. Szczupła sylwetka straciła wcześniejszą niezdatność, a twarz nieco się wypełniła.

Biust miała nie za duży, ale kształtny. Wąska talia przechodziła w krągłe biodra. No i te niekończące się nogi!

Czym prędzej skoncentrował się na towarzyskich obowiązkach. Zrobił krok w jej kierunku, na twarz przywołał przyjazny uśmiech.

- *Buongiorno, Maria Lisa.* - Z rozmysłem wymówił imię, którego używał żartobliwie, gdy była mała.

- *Come stai* - jak się miewasz?

Spojrzała na niego i przez ułamek sekundy w zielonoszarych oczach błysnęła taka pogarda, aż zaparło mu dech w piersiach. Chwilę później odpowiadała grzecznie i spokojnie na jego powitanie. Pozwoliła nawet, by wziął ją za rękę. Doszedł do wniosku, że to jego wyobraźnia robi mu psikusy.

Bo tak chciało myśleć moje ego, uzmysłowił to sobie z goryczą. Że to honor dla tej dziewczyny zostać żoną jednego z Santangelich, a skoro on nie ma zastrzeżeń teraz, kiedy zobaczył ją ponownie, rozumie się samo przez się, że i ona ich nie ma.

Nakłoniony przez kuzynkę, przyjął zaproszenie na przyjęcie i zgodził się przyjść następnego dnia, by omówić szczegóły.

I chociaż Marisa wiedziała - wyraźnie jej powiedziano - że rzeczywistą przyczyną jego wizyty są oświadczenia, nie można się było zorientować, czy jest zadowolona, czy nieszczęśliwa z tego powodu.

To powinno być dla mnie ostrzeżenie, myślał, potępiając sam siebie. Tymczasem potraktował jej brak reakcji jako wynik nerwowości wobec perspektywy małżeństwa.

W przeszłości na swoje partnerki wybierał kobiety doświadczone seksualnie, ale niewinność stanowiła warunek zasadniczy dla dziewczyny, która miała pewnego dnia urodzić dziedzica Santangelich.

Tak więc postanowił obiecać jej, że ich miesiąc miodowy stanie się okazją do poznania czy wręcz zaprzyjaźnienia się i że będzie cierpliwie czekał, aż ona będzie gotowa przyjąć go za męża w pełnym tego słowa znaczeniu.

Wierzył w każde swoje słowo. Przypomniawszy sobie, jak go słuchała z głową nieco od niego odwróconą i zarumienionymi policzkami.

Spodziewał się jakiejś reakcji - delikatnej zachęty do wzięcia jej w ramiona i złożenia pocałunku jako znaku ich zaręczyn.

Nic. Ani wtedy, ani później. Nigdy nie dała mu do zrozumienia, że pragnie, by jej dotykał. Obiecując jej cierpliwość, wpadł we własną pułapkę, ponieważ w miarę jak mijał czas i zbliżał się termin ich ślubu, zaczął się czuć w jej chłodnym, obojętnym towarzystwie jak mały chłopiec, niezdolny zbliżyć się do niej w żaden sposób - coś takiego nie zdarzyło się mu nigdy wcześniej.

Ale nie spodziewał się, że wpadnie w złość. Nadal miał poczucie winy z tego powodu.

Westchnął głęboko i owinął biodra suchym ręcznikiem. Nie ma sensu torturować się od nowa tym wszystkim. Powinien iść do łóżka i spróbować zasnąć. Ale wiedział, że jest zbyt niespokojny i że może lepiej

wykorzystać ten czas na zaplanowanie nadchodzącej kampanii.

Wyszedł więc z łazienki i skierował się prosto do *salotto* - imponującego pomieszczenia o jasnych ścianach, w którym jedynym dysonansem było ogromne biurko po dziadku.

Podszedł do mebla, z jednej z szuflad wyjął teczkę, nalał sobie porcję whisky, wyciągnął się na kanapie i zaczął przeglądać jej zawartość. Poprzedniego dnia otrzymał nowe dane, ale nie miał czasu się z nimi zapoznać.

Napił się trunku, przebiegł oczami po kartce i nagle usiadł prosto, niemal się zachłystując. Ponownie przeczytał wiadomość od firmy, której zlecił opiekę nad swoją nieobecną żoną.

„Uważamy za konieczne poinformować Pana, że pani Santangeli zatrudniła się pod swoim panieńskim nazwiskiem jako recepcjonistka w prywatnej galerii sztuki przy Carstairs Place. W ciągu minionych dwóch tygodni zjadła dwa razy lunch w towarzystwie jej właściciela, pana Corina Langforda. Przestała nosić obrączkę. Możemy dostarczyć fotograficzne dowody w razie potrzeby”.

Renzo zgniół pismo w kulkę i rzucił przez cały pokój, klnąc siarczyście.

Nie potrzebuje żadnych zdjęć. Zbyt wiele jego własnych romansów zaczynało się od lunchu, wiedział więc, że zaspokajając jeden głód, tworzy się inny. Świetnie to znał - wspólny posiłek, oczy spotykają się nad stołem, palce najpierw się muskają, a potem splatają.

To, czego nie potrafił sobie wyobrazić, to dziewczyna po drugiej stronie stołu. Marisa uśmiechnięta, rozmowna i roześmiana. Taka, jaka z nim nigdy nie była.

Nie jest zazdrosny. Co to to nie! Po prostu jeszcze

bardziej wściekły niż dotąd. Wszystko, co między nimi zaszło w przeszłości, bladło wobec tej obrazy jego męskości i statusu męża.

No cóż, jeśli jego niechętna młoda żona myśli, że może mu przyprawić rogi, to się bardzo myli. Jutro zabierze ją do domu, a kiedy już tam będzie, nie uda się jej od niego uciec. Już on się postara, żeby nie myślała o nikim innym tylko o nim i nie pragnęła nikogo poza nim.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Marisa? Mój Boże, to ty! Nie wierzę własnym oczom!

Szczupła dziewczyna, która niewidzącym wzrokiem patrzyła na wystawę sklepu, ze zdumieniem spojrzała na wysokiego blondyna stojącego tuż za nią.

Odezwała się niepewnym głosem:

- Alan! Co ty tu robisz?

- Toja powinienem o to zapytać. Dlaczego nie pijesz cappuccino przy Via Véneto?

- No wiesz, to także może spowszednieć... Polubiłam angielską herbatę.

- Och, a co na to Lorenzo Wspaniały?

Zauważyła nutkę goryczki w jego głosie.

- Alan, proszę cię...

- Wiem, wiem. Przepraszam. - Spojrzał nad jej ramieniem na dziecięce ubranka leżące na wystawie i zacisnął usta. - Powinienem ci pogratulować, jak rozumiem?

- Nie! - Wykrzyknęła głośniejszym głosem, niż zamierzała, i zaczerwieniła się, gdy dostrzegła jego zdziwienie. - To

znaczy tak, ale nie mnie. Koleżanka ze szkoły jest w ciąży i chce jej kupić coś ładnego.

- No to chyba przyszedł pod dobry adres. - Alan przyglądał się metkom z cenami. - Trzeba być żoną milionera, by tu kupować. - Uśmiechnął się do niej. - To musi być bardzo dobra przyjaciółka.

- Powiedzmy, że mam wobec niej dług wdzięczności - stwierdziła Marisa spokojnie. - Bo mnie poleciła Corinowi Langfordowi i już nie jestem całkowicie zależna od Renza Santangelego. I nie zadawała zbyt dużo niedyskretnych pytań, kiedy zjawiłam się w Londynie sama.

- Musisz zrobić zakupy właśnie teraz? Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu na ciebie wpadłem! Chciałbym cię zaprosić na lunch.

Nie mogła mu powiedzieć, że jej godzina na obiad właśnie dobiega końca i że musi wrócić do recepcji w Estrello Gallery. Instynktownie wsunęła lewą dłoń bez obrączki do kieszeni. Spotkanie Alana zaskoczyło i ją, ale mogły z niego wyniknąć komplikacje, gdy ma się tyle do ukrycia.

- Przykro mi. - Jej uśmiech wyrażał szczerą skruchę. - Muszę gdzieś być za pięć minut.

- Na zawołanie męża z pewnością.

Zawahała się.

- Prawdę powiedziawszy, Renza tu nie ma.

- Zostawił cię samą tak szybko? Marisa wzruszyła ramionami.

- Nie jesteśmy syjamskimi bliźniakami - próbowała żartować.

- No nie. - Zamilkł na chwilę. - A co robią słomiane wdowy? Liczą godziny do powrotu marnotrawnych

mężów?

- Skąd! - zaprzeczyła energicznie. - Mają własne życie.

- W takim razie - zaproponował - może zechciałybyś mnie jeszcze zobaczyć? - W jego głosie brzmiała natarczywość. - Marisa, jeśli nie możesz zjeść ze mną lunchu, to może kolację? O ósmej w restauracji Chez Dominique? Jak za starych, dobrych czasów?

Chciała mu powiedzieć, że stare, dobre czasy dawno się skończyły. Że umarły w dniu, gdy pozwolił się wygnąć z jej życia i wyjechał do Hongkongu, ponieważ nie był gotów walczyć o nią z mężczyzną, który mógł zniszczyć jego karierę jednym słowem.

Nie mogę go obwiniać, upomniała siebie. Ich związek był na zbyt wczesnym etapie, by miała prawo wymagać od niego takiej lojalności i zaangażowania, jakiej potrzebowała. Przecież pocałowali się tylko kilka razy. A jeden z tych pocałunków położył kres całemu „romansowi”, bo przyłapała ich kuzynka Julia.

Tamtej okropnej nocy, gdy odkryła, co gotuje dla niej przyszłość.

Gdyby Alan był moim kochankiem, pomyślała, nie byłabym dziewicą i nigdy by nie doszło do małżeństwa z Renzem. Ale zdałam sobie z tego sprawę za późno. Alan wyjechał, a poza tym, czy rzeczywiście tak mi na nim zależało, żeby mu się oddać?

- Dziś wieczór... Nie wiem... A teraz naprawdę muszę już iść.

- Zarezerwuję stolik - powiedział. - I będę czekał. Reszta należy do ciebie.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- No cóż, cokolwiek się zdarzy, miło było cię znowu

zobaczyć. - I szybko odeszła.

Do galerii wróciła na czas, mimo to Corin krążył niespokojnie. Nadchodzące spotkanie z prawnikami wyraźnie zajmowało całą jego uwagę.

- Ma na głowie rozwód - ostrzegła ją Dinah. - Problem polega na tym, że nadal kocha swoją żonę, a ją interesuje tylko to, ile z niego może wyciągnąć. Dlatego czasami musi się przed kimś wyzalić. - Umiłkła na chwilę. - Myślisz, że dasz radę?

- Oczywiście - odparła Marisa bez wahania. Może nawet będę mogła się czegoś nauczyć do własnego rozwodu, gdy stanie się wykonalny, pomyślała. Tyle że ona chce wyłącznie uwolnić się od swojego krótkiego, nieudanego małżeństwa. Spodziewała się, że Lorenzo Santangeli będzie miał takie samo zdanie.

- Chyba już pójdę. - Corin zatrzymał się w drzwiach. - Jeśli pani Brooke zadzwoni w sprawie akwareli...

- Cena pozostaje bez zmiany. - Marisa uśmiechnęła się do niego. - Proszę się nie martwić. Nie dam się zagadać. Niech pan już idzie, bo się pan spóźni.

- No tak - westchnął ciężko. - Chyba tak.

Obserwowała go, jak stoi na krawężniku, przeczesuje palcami włosy i macha na taksówkę. Ma wszelkie powody, żeby się martwić, pomyślała.

Była pani Langford nie tylko żąda domu, ale większości udziałów w galerii, bo jej ojciec dołożył się sporo na początku.

- Nasi ojcowie byli przyjaciółmi - wyznała Dinah. - Tata twierdzi, że jej ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, co Janinę zamierza. Jeśli dostanie galerię, zamknie ją, a Corin przestanie tu pracować przed końcem roku.

- Ale przecież dobrze mu idzie! - podkreśliła zaskoczona Marisa. - On jest doskonałym biznesmenem, a klienci wyraźnie mu ufają.

Dinah parsknęła.

- Myślisz, że ją to obchodzi? Wcale. Dostrzega tylko cenną nieruchomość. Tuż po śmierci swojego ojca zamęczała Corina, żeby ją sprzedać, a kiedy się nie zgodził, postanowiła zakończyć ich małżeństwo - gdy tylko znalazła kogoś na jego miejsce. On na to nie zasługuje - dodała. - Ale dobry człowiek zawsze dostaje po uszach.

Tak, pomyślała Marisa, a dranie, tacy jak Lorenzo Santangeli, wygrywają. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Popołudnie nie należało do szczególnie pracowitych, ale okazało się zyskowe, bo ludzie wchodzili, by kupować, a nie tylko oglądać. Młoda para poszukująca prezentu z okazji ślubu przyjaciół nabyła kilka współczesnych miniatur, pani Brooke niechętnie zgodziła się na pełną cenę, a starszy jegomość zdecydował się na krajobraz z Krainy Jezior na urodziny swojej żony.

- Byliśmy tam w podróży poślubnej - zwierzył się Marisie, która przyjmowała płatność kartą.

- Muszę jednak przyznać, że wahałem się między tym obrazem a cudownym widokiem włoskiego wybrzeża namalowanym przez tego samego artystę. - Westchnął z rozrzewnieniem. - Kilka razy byliśmy na wakacjach w okolicach Amalfi i przywieźliśmy stamtąd mnóstwo miłych wspomnień.

- Umilkł na chwilę. - Zna pani to miejsce? Marisa zamarła na moment, ale opanowała się i z uśmiechem oddała mu kartę.

- Tak, byłam tam raz. Nieprawdopodobnie piękna

okolica.

Wolałabym, żebyś kupił tamten obraz, przynajmniej nie musiałabym więcej na niego patrzeć.

W chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, zabrakło jej tchu w piersiach. Malowidło przedstawiało bowiem jej kryjówkę - sanktuarium

- z czasów tego na pozór niekończącego się miesiąca miodowego. Kiedy natrafiła na to miejsce, biegła tam co ranka, wiedząc, że nikt jej nie będzie szukał, ani jej nie znajdzie. Tam właśnie odkryła, że odosobnienie nie musi oznaczać osamotnienia.

Wieczorem wracała do zimnej, pełnej napięcia ciszy Villi Santa Caterina i niechętnego towarzystwa mężczyzny, którego poślubiła. Jadła z nim kolację w ciepłej ciemności przy stole oświetlonym światłem świec, na ukwieconym tarasie, gdzie każdy podmuch wiatru zdawał się zmysłowy, jak na ironię.

Kiedy posiłek dobiegał końca, mówiła mu spokojnie dobranoc i kładła się samotnie w ogromnym łóżku, w śnieżnobiałej pościeli, modląc się w duchu, by drzwi do jej sypialni się nie otworzyły, ponieważ wbrew wszystkiemu nuda lub niecierpliwość mogły sprawić, że on znowu jej zapragnie.

To się na szczęście nigdy nie zdarzyło, a teraz są od siebie daleko. Nie kontaktują się nawet przelotnie.

Prawdopodobnie, myślała, Renzo w końcu zrozumiał aluzję i teraz musi tylko podjąć odpowiednie kroki, by zakończyć to tak zwane małżeństwo.

Przede wszystkim nie powinnam się na nie godzić, stwierdziła w duchu kategorycznie. Musiałam chyba oszaleć. No ale bez względu na to, co myślę o kuzynce Julii, nie mogłam przecież skazać jej na bezdomność,

zwłaszcza że jej mąż jest chory.

Speszyła się, gdy Julia zastała ją tamtego wieczoru w objęciach Alana, ale była oburzona, gdy kuzynka z lodowatym uśmiechem poprosiła go, by wyszedł i odprowadziła go do frontowych drzwi mimo jej protestów.

- Jak śmiałaś! - wykrzyknęła dziewczyna. - Nie jestem już dzieckiem i mogę się spotykać, z kim chcę.

Julia potrząsnęła głową przecząco.

- Obawiam się, że nie, moja droga. I to właśnie dlatego, że jesteś już dorosła. - Zamilkła, a jej wargi rozciągnął uśmiezek. - Widzisz, twój przyszły mąż nie życzy sobie, by obcy facet kłusował na jego terenach. Dano mi to jasno do zrozumienia, gdy zgodziłam się być twoją opiekunką. Udawajmy więc, że dzisiejszy wieczór w ogóle się nie zdarzył, dobrze? Zapewniam cię, że tak będzie najlepiej dla nas obu.

Zapadła długa cisza. A potem Marisa zapytała:

- Najlepiej? O czym ty mówisz? Ja... ja nie mam żadnego przyszłego męża. Co za bzdura!

- Och, nie bądź naiwna! - odparła pogardliwie Julia.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że masz poślubić Lorenza Santangelego. To zostało ustalone wiele lat temu.

- Poślubić Renza? Przecież to nigdy nie było na serio. Ludzie tak tylko gadali...

- Wręcz przeciwnie, moja kochana. Bardzo serio. - Julia usiadła. - Czarujący signor Santan-geli tylko czekał, aż osiągniesz odpowiedni wiek do ożenku.

Dziewczyna z trudem wydobyła z siebie głos.

- Nie wierzę!

- No, może przesadzam - zgodziła się Julia.

- Wątpię, by poświęcił ci choćby jedną myśl przez te wszystkie lata. Ale teraz sobie przypomniał o tobie, albo

ktoś mu odświeżył pamięć, wybiera się więc do nas, by wziąć to, co mu się należy.

- Gwizdnęła drwiąco. - Bogaty, przystojny... Gratulacje, kocieczku. Wygrałeś los na loterii.

- Nie wygrałam. - Serce Marisy waliło jak szalone. - Bo to się nie zdarzy. Mój Boże, ja go nawet nie lubię!

- No cóż! On także nie darzy cię ukrytą namiętnością - powiedziała Julia. - To jest małżeństwo zaplanowane, głupia dziewczyno, a nie płomienna miłość. Ród Santangelich potrzebuje młodej, zdrowej kobiety, by dostarczyła im potomka - wybrali właśnie ciebie.

- To będą musieli poszukać gdzie indziej. - Głos Marisy drżał. - Ja nie jestem na sprzedaż.

- Moje drogie dziecko - wycedziła Julia. - Zapłacili za ciebie wiele lat temu. - Zatoczyła ręką koło. -

Czy sądzisz, że stać by nas było na taki dom, a nie na jeden pokój, taki jaki wynajmowaliśmy z Harrym, gdy zmarli twoi rodzice? Skąd się brało chesne na twoją szkołę? Kto nas żywi? A twoje stroje, wakacje i rozrywki?

- Myślałam, że ty...

- Nie bądź głupia. Harry wydaje akademickie podręczniki. Ledwo wiąże koniec z końcem. A teraz, kiedy zachorował na stwardnienie rozsiane, w ogóle nie będzie mógł pracować.

Marisa uniosła głowę wysoko.

- Znajdę sobie pracę. Zwrócę im każdy grosz.

- Jako kto? - zadrwiła Julia. - Poza tym kursem z historii sztuki, na który teraz chodzisz, nie masz żadnego konkretnego wykształcenia. Możesz być tylko tym, do czego cię przeznaczono - żoną multimilionera i matką jego dzieci. Nadszedł czas zwrotu nakładów inwestycyjnych, a ty jesteś jedyną walutą, którą oni przyjmą.

- Nie wierzę w to. Nigdy. Renzo nie mógł się na to zgodzić. On także mnie nie chce. Wiem o tym.

Śmiech Julii brzmiał cynicznie.

- To mężczyzna, moja droga, a ty jesteś atrakcyjną, seksowną dziewczyną. Rola młodego żonkosia nie wyda mu się zbyt trudna, uwierz mi.

Wypełni swoje obowiązki wobec rodziny, i to z przyjemnością.

- To obrzydliwe.

- Taki jest świat, moje dziecko. - Julia wzruszyła ramionami. - A życie z markizem Santangeli będzie miało inne zalety. Kiedy już dasz Lorenzowi dziedzicę, nie sądzę, żebyś widywała go często. Nadal będzie się bawił, tak jak robi to teraz, tyle że nieco dyskretniej, a ciebie zostawi w spokoju.

Marisa wbiła wzrok w kuzynkę.

- Chcesz powiedzieć, że ma kogoś? Dziewczynę? - zapytała zduszonym głosem.

- Och, to coś więcej - powiedziała Julia nonszalancko. - Piękna wenejanka, Lucia Galio, która pracuje w telewizji. Od kilku miesięcy są nierozłączni.

- Rozumiem. - Instynkt podpowiadał Marisie, że Julia świetnie się bawi. - Jeśli tak, dlaczego się z nią nie ożeni?

- Bo to rozwódka i osoba nieodpowiednia pod wieloma innymi względami. Wydawało mi się, że już ci mówiłam - ród Santangeli oczekuje dziewictwa w chwili małżeństwa od panien młodych.

- Zakładam, że ta zasada nie odnosi się do mężczyzn?

Julia roześmiała się.

- No pewno, że nie. Będiesz z tego zadowolona w

swoim czasie, uwierz mi na słowo. - Jej ton się zmienił. Teraz mówiła bardziej pojednawczo.

- Pomyśl o tym, Mariso. To małżeństwo nie jest takie złe. Zawsze chciałaś podróżować. No więc teraz będziesz mogła, i to pierwszą klasą. Albo, będąc we Florencji, zawsze- możesz wrócić do świata sztuki. Stworzyć własne życie.

- I to jest warte zachodu? - Marisa dopytywała się z niedowierzaniem. - Mam się dać wykorzystać za kilka wizyt w Akademii? Nie zrobię tego.

- Chyba jednak tak - stwierdziła kuzynka ponuro. - Jesteśmy zależni od Santangelich, wszyscy. Ty także. Nasze życie zależy od ich dobrej woli. A kiedy wyjdiesz za Lorenza, ja i Harry nadal będziemy z niej korzystać. Zgodzili się, żebyśmy się przeprowadzili do parterowego domku pod Londynem, przystosowanego do wózka inwalidzkiego, i żebyśmy zatrudnili pielęgniarkę na cały etat, kiedy będzie taka potrzeba. W normalnych okolicznościach nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. Ale jeśli ty teraz się wycofasz, wszystko się zawali. Stracimy ten dom. Nie zaryzykuję przyszłości Harry'ego tylko dlatego, że ty nagle uznasz, że cena jest, za wysoka. Nic nie ma za darmo, moje słoneczko, pogódź się więc z tym. I pamiętaj, że wiele dziewcząt chciałoby być na twoim miejscu. Naucz się być uprzejma dla niego i nie zadawaj niezręcznych pytań.

Westchnęła. Walczyła - oczywiście, że tak

- wykorzystując wszelkie możliwe argumenty, przeciwko niechcianemu małżeństwu. Kilka następnych dni spędziła na próbach skontaktowania się z Alanem, który nagle stał się dziwnie nieosiągalny.

A kiedy wreszcie się do niego dodzwoniła ponad

tydzień później, dowiedziała się, że zaproponowano mu awans i transfer do Hongkongu i że wyjeżdża niemal natychmiast.

- To niezwykła okazja - powiedział jej niepewnie. - I całkowicie nieoczekiwana. Mogłem czekać latami na coś takiego.

- Rozumiem. - W głowie się jej kręciło, ale starała się mówić beztroskim tonem. - Nie wzięłybyś mnie z sobą?

Zapadła cisza, a potem Alan odezwał się drżącym głosem:

- Marisa, wiesz, że nie. Żadne z nas nie jest niezależne. Wiem, kto pociągał za sznurki, bym dostał tę robotę, bo ty wkrótce przejdziesz do innej ligi. Chyba zresztą nie powinienem nawet z tobą rozmawiać.

- Chyba nie. - Gardło miała ściśnięte. - Rozumiem. No to wszystkiego najlepszego.

Po tej rozmowie walka stała się trudna. Jej osłupiały mózg uzmysłowił sobie, że nie ma do kogo się zwrócić, dokąd pójść ani - czego Julia nie omieszkała jej przypomnieć - dość kwalifikacji, by zarobić na życie.

W ostatecznym rozrachunku skapitulowała z powodu Harry'ego, cichego, miłego człowieka, który sprawił, że niechętna opieka Julii dała się znieść, a który w bardzo niedługim czasie będzie potrzebował szczodrości Santangelich.

Ale jeśli Renzo wyobraża sobie, że ona padnie mu do stóp z wdzięczności, to się myli, pomyślała z goryczą.

Tego się trzymała przez cały okres, który - jak przypuszczała - uchodził za zaloty. Renzo nie starał się zbyt, a ona była z tego zadowolona - uważała, że im rzadziej go widuje, tym lepiej. Niemniej jej postanowienie nigdy nie zostało poddane próbie.

Jedyny raz, gdy znalazła się z nim sam na sam przed ślubem, złożył jej dziwną, niemal nieśmiałą propozycję małżeństwa, wyjaśniając, że chce jej ułatwić tę trudną sytuację, o ile to tylko możliwe, i nie będzie jej zmuszał do fizycznej bliskości, dopóki się nie przyzwyczai do nowych okoliczności i nie będzie gotowa zostać jego żoną.

I w czasie zaręczyn dotrzymał słowa. Nigdy nie dokuczył jej niewczesnymi zalotami.

Bez wątpienia wierzył, że nie będzie musiał czekać zbyt długo, doszła do wniosku i zacisnęła usta. Był pewny, że jej determinację, by trzymać go na odległość, podkopie choćby sama ciekawość.

No to dowiedział się, jak jest naprawdę, podczas ich nieszczęsnego miesiąca miodowego, a rozstanie pod koniec okazało się ulgą dla nich obojga. I chociaż próbował nawiązać z nią kontakt, kiedy przeniosła się do Londynu, wyraźnie nie uważał za konieczne osobiście zasypać przepaść między ni-mi. Ona zresztą by na to nie pozwoliła, zapewniła samą siebie pospiesznie.

Teraz, wyglądając na to, milcząco zaakceptował, że ich krótkie, nieudane małżeństwo definitywnie się skończyło. Niedługo będzie mógł poszukać jakiejś kobiety skłonnej dzielić z nim małżeńskie łóżko, gdy tylko będzie na to miał ochotę - prawdopodobnie jakiejś pięknej Włoszki o oczach łani, z wielkim talentem do macierzyństwa.

Co z pewnością spodoba się tej starej wiedźmie, jego babce, która nie kryła dezaprobaty wobec planowanego związku od chwili, gdy Marisa przyjechała do Włoch pod czujną eskortą Julii. Harry wolał spędzić ten czas spokojnie w domu swojej siostry w Kencie, ale wyraził chęć uczestniczenia w ślubie w zastępstwie ojca panny młodej.

Następne zaloty Renza niemal na pewno będą odbywały się inaczej.

Czasami zastanawiała się, czy wszyscy wiedzieli, że on jej rzadko dotyka, poza braniem za rękę, gdy ją przedstawiał. I że nigdy jej nie pocałował.

Oprócz jednego razu...

Działo się to w Toskanii podczas kolacji wydanej przez ojca Renza z okazji jej dziewiętnastych urodzin. Ożywiony tłum składający się z członków rodziny i przyjaciół zebrał się wokół stołu we wspianiałej jadalni o ścianach pokrytych freskami. Ona siedziała obok niego w kremowej sukience z długimi rękawami i niewielkim, kwadratowym dekoltem, jak typowy przykład przesadnie skromnej *fidanzata* - narzeczonej. Wspianiały sznur pereł - urodzinowy prezent - otaczał jej szyję, tak by wszyscy mogli go podziwiać.

- Perły jako symbol czystości - kwaśno skomentowała Julia. - I kosztowały majątek. Wyraźnie oczekuje zapłaty za nie w czasie nocy poślubnej.

Czy to właśnie Renzo chce przekazać światu? Zastanawiała się niezadowolona Marisa. Miała wielką ochotę schować naszyjnik z powrotem do szykownego pudełka, ale koniec końców zmusiła się, by go założyć razem z pierścieniem zaręczynowym ozdobionym okazałym rubinem w otoczeniu brylantów.

Nie mogła mieć zastrzeżeń co do jego szczodrości w kwestiach materialnych. Zdumiała się, gdy odkryła, jakie fundusze zamierzał oddać do jej dyspozycji po ślubie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, na co mogłaby wydać choćby jedną czwartą tej sumy.

Ale potem przypomniała sobie, że przecież kupuje jej przychylność i - jak to Julia ujęła bez ogródek - jej ciało.

Ta myśl nadal wprawiała ją w panikę, zwłaszcza że termin ślubu zbliżał się nieubłaganie.

Ponieważ mimo jego wyrozumiałości nadejdzie noc, gdy będzie musiała mu się poddać. On ją przerażał...

Odwróciła głowę i przyjrzała mu się spod rzęs. Rozmawiał z ludźmi siedzącymi po drugiej stronie stołu, ruchami dłoni podkreślał swoje słowa, jego ciemną twarz ożywiał śmiech. Nagle przyszła jej do głowy szokująca myśl - gdyby go spotkała tego wieczoru po raz pierwszy, uznałaby, że jest niezwykle atrakcyjny.

Jego urodę podkreślała surowa oficjalność smokingu i czarny krawat. Musiała przyznać, że zawsze się świetnie ubiera.

Ale zaraz za tą zaskakującą myślą przyszła następna, jeszcze gorsza: bardzo szybko przekona się, jak Renzo wygląda bez żadnych ubrań.

Nagle zabrakło jej tchu, poczuła, jak fala gorąca ogarnia całe jej ciało i wywołuje rumieniec na twarzy.

Jakby wyczuł jej zmieszanie, wiedziony jakimś tajemniczym instynktem, Renzo odwrócił się i spojrzał na nią. Uniósł brwi pytająco, przyglądając się jej rozpalonym policzkom i przestraszonej minie.

Przez jedną krótką chwilę zamknęła się nad nimi cisza, ich oczy się spotkały. A potem w jego wzroku pojawiło się jeszcze większe zaskoczenie i - rozbawienie.

Ku swojemu upokorzeniu zdała sobie sprawę, że odczytał jej myśli z taką łatwością, jakby miała na czole wypisane „Ciekawe, jak on wygląda nago”.

Skłonił lekko głowę, na ustach pojawił mu się wyraz kpiącego uznania, wziął jej dłoń, musnął wargami, a potem odwrócił ją i złożył bardziej zdecydowany pocałunek w jej wnętrzu.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, słysząc szmer zachwytu i aprobaty. Zorientowała się, że wszyscy dostrzegli jego gest.

Pretensje mogę mieć tylko do siebie, pomyślała. Serce waliło jej jak młotem. Wysunęła dłoń resztką godności, którą udało się jej zachować. Wiedziała, że gościom i to się spodoba, że uznają to za wyraz jej skromności i nieśmiałości, podczas gdy ona miała ochotę złapać za najbliższą butelkę z winem i rozbić mu ją na głowie.

Kiedy trwająca wieczność kolacja wreszcie się skończyła, cieszyła się, że wymogi uprzejmości zatrzymały Renza przy wychodzących gościach, dzięki czemu mogła pobiec na górę, nie zamieniwszy z nim ani słowa.

Jednak przed Julią nie udało się jej umknąć tak łatwo.

- Wygląda na to - powiedziała, podążając za Marisą do jej sypialni i siadając na sofie pod oknem - że zaczynasz darzyć swojego przyszłego męża cieplejszymi uczuciami.

Marisa ostrożnie włożyła perły do pudełka.

- Pozory mylą.

- No to jesteś głupia - stwierdziła kuzynka bez ogródek. - On jest uroczy, to fakt, ale w głębi kryje się twardy człowiek. Nie możesz sobie z nim pozwolić na jakieś gierki - rumienić się i wzdychać, a chwilę potem zmieniać w sople lodu.

- Dziękuję za radę - odparła Marisa grzecznie. - Zapamiętam ją.

Tego wieczoru na chwilę straciła grunt pod nogami, dobrze o tym wiedziała, ale to przejściowe. Na pewno znajdzie sposób, żeby temu zaradzić.

No i znalazłam, myślała teraz z goryczą.

Jej rozmyślania przerwał powrót Corina, który wyglądał na załamane.

- Ona chce połowę galerii - oznajmił bez wstępów. - Twierdzi, że jestem zbyt konwencjonalny i zamierza się czynnie zaangażować - narzucić swoje pomysły, by poszerzyć bazę klientów. Co oznacza, że będzie pracować tuż obok mnie, jakby nic się nie stało. To niemożliwe. Ja tego nie zniosę. - Usiadł ciężko przy swoim biurku. - Poza tym dobrze znam jej pomysły. Nigdy się nie sprawdzą, nie w takim miejscu jak to. Ale nie stać mnie, żeby ją wykupić - dodał, wzdychając - będę więc musiał to sprzedać i zacząć jeszcze raz od nowa - może gdzieś na wsi, gdzie nieruchomości nie są takie drogie.

Marisa przyniosła mu mocną kawę.

- Nie możesz znaleźć kogoś, kto zechciałby zainwestować w galerię, żebyś mógł spłacić żonę?

Corin się skrzywił.

- Czasy są ciężkie, coraz cięższe, a artykuły luksusowe na ogół poświęca się w pierwszej kolejności.

Mógłbym powalczyć, by znaleźć kogoś skłonnego zaryzykować. Tyle że inwestorzy zawsze chcą więcej bezpośrednich zysków, niż ja mogę zaoferować. Chyba zamknę dzisiaj wcześniej. - Spojrzał na nią z nadzieją. - Zjemy razem kolację?

Przepraszam, Corin, pomyślała, ale nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie twoich żalów. Jesteś miłym facetem, ale skończmy na lunchach. Mam własne problemy. A na głos powiedziała łagodnie:

- Przykro mi, ale jestem już umówiona.

Oczywiście nie zamierzała spotykać się także z Alanem, nagle jednak wydało się jej to lepsze, niż siedzieć samej w mieszkaniu i dumać o przeszłości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ubierając się na spotkanie z Alanem, Marisa nadal nie była pewna, czy dobrze robi.

Przyszło jej na myśl, że chociaż minął dopiero rok od chwili, gdy zamierzała z nim uciec, jej serce wcale nie bije szybciej.

Nie obiecała mu, że przyjdzie, mogłaby więc tego nie robić bez problemu. Z drugiej jednak strony wyjście do restauracji wydawało się bardziej kuszące niż perspektywa kolejnego wieczoru w pojedynkę przed telewizorem.

Ale samotność najlepiej mi wychodzi, pomyślała z westchnieniem.

Dotąd własne mieszkanie satysfakcjonowało ją całkowicie. Miało ledwie jedną sypialnię, nie było więc największe na świecie - w istocie mogłoby zniknąć bez śladu w tokańskim domu Santangelich - ale było jasne i ładnie urządzone, z dobrze wyposażoną kuchnią i łazienką. Znajdowało się w eleganckim, nowoczesnym bloku w dobrej dzielnicy Londynu.

Ale co najlepsze, często sobie to przypomiwała, nie

musi opowiadać się nikomu.

Sytuacja miała oczywiście swoje wady. Musiała zaakceptować, że jej wolność ma swoje granice, ponieważ to nie ona płaci za czynsz, ale firma prawnicza występująca w roli przedstawiciela jej męża.

Dotarło do niej, że po rozwodzie nie będzie jej stać na coś takiego.

W jej życiu zajdą różne inne zmiany, wiele z nich na gorsze. Mimo pogardliwej oceny Julii, jej wyniki w szkole były całkiem przyzwoite. Gdy ją kończyła nie rozumiała, dlaczego nikt jej nie zachęca do dalszej nauki, tak jak jej koleżanki z klasy.

Jak mogłam być aż tak naiwna? - drwiła sama z siebie.

Jednak nic nie stoi na przeszkodzie, by podjęła studia w przyszłości, korzystając z kredytu studenckiego. Można nawet spojrzeć na czas spędzony w roli żony Renza jako na swego rodzaju „urlop dziekański”.

Ale teraz musi stawić czoło najbliższej przyszłości w postaci dzisiejszego wieczoru, w którym mogą być także trudne chwile, jeśli nie będzie czujna. Koniec końców, ostatnia rzecz, której pragnie, to sprawić na Alanie wrażenie opuszczonej żony poszukującej pocieszenia.

Bo nic nie może być dalsze od prawdy.

Starannie wybrała strój - jasnoniebieską spódnicę i białą, jedwabną bluzkę. Miała nadzieję, że nie będzie wyglądać, jakby starała się za bardzo. Potem przypudrowała po prostu twarz i nałożyła pomadkę na usta.

Na koniec z pewną niechęcią wyjęła obrączkę ze stolika nocnego i nałożyła na palec. Nie planowała jej nosić, ale jej widok będzie milcząco przypominać jej towarzyszeni, że nie jest wolna.

Dwie godziny później już wiedziała, że sposób myślenia Alana wcale nie stał się bardziej elastyczny podczas jego nieobecności. Mimo romantycznej atmosfery panującej w Chez Dominique, po prostu się nudziła.

Nostalgiczny nastrój chłopaka wprowadził ją w zakłopotanie. Mówił o tym, co ich niegdyś łączyło tak, jakby to był jakiś głęboki związek, chociaż ona nie tak to zapamiętała.

Daj spokój - myślała. - Jesteś co prawda kilka lat ode mnie starszy, niemniej wtedy byliśmy właściwie dziećmi. Nigdy z nikim jeszcze nie spałam, podejrzewam, że ty też nie, chociaż wyraźnie to się w nas obydwójgu zmieniło.

Wydawał się teraz bardziej pewny siebie, miał na sobie jasny, elegancki garnitur i niebieską koszulę pasująca do jego oczu. I chyba naprawił sobie nadłamaną jedynekę.

Doszła do wniosku, że jest miły. I tyle.

Niemniej jedzenie w Chez Dominique nadal serwowano doskonale, a kiedy udało jej się nakierować swojego towarzysza na inne tematy niż osobiste i skłonić, by mówił o życiu w Hongkongu, rozmowa stała się interesująca.

Gdy kelner przyniósł ser i *creme brulee*, Alan zapytał:

- Nadal mieszkasz ze swoją kuzynką?

- Och, nie - odparła Marisa bezmyślnie. - Julia mieszka teraz niedaleko Tonbridge Wells.

- Chcesz powiedzieć, że spuszczone cię ze smyczy bez przyzwotki? Zdumiewające.

- Niespecjalnie - zjadła trochę deseru. - Może Lorenzo - zająknęła się nieco na tym imieniu - po prostu mi ufa.

Albo po prostu ma w nosie, co robię...

- To pewno masz apartament u Ritza albo w jakimś innym pięciogwiazdkowym pałacu?

- Roześmiał się gorzko.

- Nic w tym rodzaju - zaprzeczyła krótko.

- Korzystam z czyjegoś mieszkania. - Co jest, pomyślała, zbliżone do prawdy. Bardzo chciała tam wrócić, żeby uniknąć kolejnych pytań Alana.

Spojrzała na zegarek i wydała okrzyk przerażenia.

- O mój Boże, już tak późno? Muszę iść.

- Czekasz na telefon od nieobecnego męża?

- W jego głosie brzmiała nutka rozdrażnienia.

- Nie. Mam spotkanie jutro rano.

Przy biurku w galerii, punktualnie o dziewiątej.

Zdała sobie jednocześnie sprawę, że jego uwaga ją zmroziła. Pomyślała, że kiedyś Renzo dzwonił do niej niemal codziennie, mimo włączonej nieustannie automatycznej sekretarki i zostawiał coraz krótsze i sztywniejsze informacje, które kasowała tak szybko, jak szybko darła nieprzeczytane listy.

Aż do wieczoru, gdy nagle w jego głosie zabrzmiała nuta dzikości:

- Mariso, jutro, kiedy zadzwonię, odbierz proszę. Są sprawy, które musimy omówić. - Umilkł na chwilę po czym dodał: - Błagam cię.

A kiedy telefon zadzwonił następnego wieczoru, ze zdumieniem zorientowała się, że musi się siłą powstrzymywać, żeby nie odebrać.

Potem w ciszy wieczorów, które nastąpiły, zdała sobie sprawę, że Renzo więcej nie zadzwoni i że w końcu osiągnęła to, co chciała. Zastanawiała się, dlaczego jej tryumf nagle wydał się taki jałowy.

Stoczyła uprzejmą potyczkę z Alanem na temat swojego udziału w rachunku, którą on zwyciężył, i wyszła na ulicę z uczuciem ulgi. Odwróciła się, by się pożegnać, i zobaczyła, że zatrzymuje taksówkę.

Bardzo troskliwie.

Nie pozwoliła mu jednak wsiąść razem z nią. Zapytała chłodno:

- Chcesz, żebym cię gdzieś podwiozła?

- Myślałem, że mnie zaprosisz na kawę. Serce w niej zamarło.

- Robi się późno...

- Nie za późno - przez wzgląd na dawne czasy?

Zbyttnio mu się podoba to sformułowanie, doszła do wniosku poirytowana Marisa. A jego „dawne czasy” wyraźnie różniły się od jej.

Nie starała się ukrywać niechęci:

- No dobrze, mała kawa, ale potem musisz iść - i patrzyła, jak jego uśmiech zabarwia się satysfakcją.

Nie miała wątpliwości, że potrafi go utrzymać z dala. Nie będzie już żadnych spotkań.

Kiedy jechali windą na drugie piętro, Alan przysunął się do niej bardzo blisko. Cofnęła się, mając nadzieję, że aluzja do niego dotrze. Ale kiedy otwierała drzwi, znowu stanął tak, że jego oddech muskał jej włosy.

W salonie paliło się światło. I ktoś tam był.

Zatrzymała się nagle, bo z przerażeniem zobaczyła kto.

Na sofie w swobodnej pozie leżał Lorenzo Santangeli, bez marynarki i krawata, z białą koszulą rozpiętą niemal do pępka i z podwiniętymi rękawami. Na stole stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki, jeden do połowy napełniony.

Uśmiechnął się do żony, odłożył na bok książkę, którą czytał, i spuścił nogi na podłogę.

- Maria Lisa - odezwał się łagodnym tonem. - *Carissima*. Nareszcie wróciłaś. Zaczynałem się o ciebie martwić.

Zaschło jej w gardle ze zdumienia, ale zdołała wykrztusić:

- Renzo - ja, ja... - Złapała oddech. - Co ty tu robisz?

- Chciałem ci sprawić niespodziankę, kochanie. I widzę, że mi się udało. - Podeszedł do niej boso, wziął jej rękę i uniósł do ust. Mając poczucie całkowitej nierealności, dostrzegła, że się nie ogolił.

- Czy możesz mnie przedstawić twojemu towarzyszowi - ciągnął - żebym mu podziękował za bezpieczne odprowadzenie cię do domu?

Zapadła cisza, tylko Alan głośno przełknął ślinę. Jakoś udało się jej opanować i zachować spokój.

- Oczywiście. To jest Alan Denison, stary znajomy. Przyjechał na urlop z Hongkongu.

I zrobił się całkiem zielony, zauważyła w myślach.

Zdawało się jej, że przez moment dostrzegła błysk zaskoczenia w oczach Renza. Potem powiedział bez wahania:

- Ach tak, przypominam sobie.

- Przypadkiem wpadliśmy na siebie - odezwał się Alan schrypniętym głosem. - Na ulicy, dziś rano. Zaprosiłem... signorę Santangneli... na kolację.

- Bardzo to miłe z pańskiej strony - pochwalił go Renzo. Marisa zdała sobie sprawę, że nadal trzyma ją za rękę. Instykt podpowiedział jej, by jej nie cofnęła. Nie tym razem.

Alan zaczął się wycofywać rakiem w stronę drzwi.

Gdyby nie była taka speszona, uznałaby to nawet za zabawne. Ale teraz chciała krzyknąć „Nie odchódź!”

- Ale teraz mogę ją zostawić... - Zamilkł na chwilę.

O Boże, pomyślała niemal histerycznie, tylko nie mów „w pańskich rękach”! Ku jej uldze Alan dokończył:

- Pod pańską opieką.

Co i tak było nie najlepsze, zważywszy na okoliczności.

- Bardzo dziękuję. A teraz pozwoli pan, że będę panu życzył dobrej nocy w imieniu swoim i żony.

Trzymał Marisę blisko siebie i patrzył obojętnie, jak młodszy mężczyzna zamyka niezgrabnie za sobą drzwi, mrużąc coś niewyraźnie.

Gdy zostali sami, Marisa uwolniła się i rozmyślnie stanęła w pewnej odległości od niego. Serce waliło jej jak szalone.

- To nie to, co myślisz...

Ciemne brwi uniosły się w zdziwieniu.

- Nauczyłaś się czytać myśli, *mia cara*?

- Nie. Ale wiem, jak to wyglądało.

- On wyglądał na rozczarowanego - odparł Renzo. - To mi zasugerowało tyle, ile muszę wiedzieć. A ty jesteś zdecydowanie za młoda, żeby nazywać mężczyznę starym przyjacielem - dodał.

- To brzmi niewiarygodnie.

Nabrała powietrza w płuca.

- Kiedy będę chciała twojej rady, poproszę o nią. A Alan i ja byliśmy przyjaciółmi, dopóki ty się me wtrąciłaś. Przyszedł tu na moje zaproszenie - z rozmysłem nagięła nieco prawdę - na kawę. To wszystko. I proszę cię, nie osądzaj innych według swoich wątpliwych standardów.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Widzę, że nieobecność nie złagodziła twojego języka, *mia bella*.

- Nie musisz tego słuchać - odpowiedziała. - A co, do diabła, tu w ogóle robisz? Jak śmiesz wchodzić i zachowywać się, jakbyś był u siebie!

Renzo swobodnie wrócił na swoje miejsce na sofie i oparł się o poduszki.

- Nie zgotowałaś mi ciepłego przyjęcia, *mia cara*. Jesteśmy mężem i żoną, twój dom jest więc także moim. Gdzie indziej powinienem być?

Marisa uniosła podbródek.

- Oto jest pytanie! - Nagle przyszło jej coś do głowy. - A jak się tutaj dostałeś, jeśli wolno spytać?

- Mieszkanie jest na moje nazwisko, mam więc do niego klucz, to oczywiste.

- Rozumiem. Powinnaś się była domyślić. Przyglądał się jej. Stała niedaleko drzwi, zakiet nadal miała zarzucony na ramiona. Skrzywił się.

- Wyglądasz, jakbyś chciała uciekać, Maria Lisa. Dokąd planujesz się udać?

- Tam, gdzie mnie nie znajdziesz.

- Sądzisz, że jest takie miejsce? - Powoli potrząsnął głową. - Ja natomiast myślę, że nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali jak cywilizowani ludzie.

- Trudno tak nazwać nasz dotychczasowy związek. Wolałabym, żebyś już poszedł. - Podeszła do drzwi i szeroko je otworzyła. - Pozbyłeś się Alana, a teraz idź w jego ślady.

- Dużo mówiący gest - mruknął. - Niestety nadaremny, bo ja nigdzie się nie wybieram. Przyjechałem tu, bo są sprawy, które musimy omówić. Usiądź więc i napij się ze mną wina, dobrze?

- Nie chcę żadnego wina. A rozmawiać możemy przez prawników. Oni mogą wszystko załatwić.

Przeciągnął się leniwie.

- Co załatwić?

- Daruj sobie te gierki. Nasz rozwód, oczywiście.

- W rodzinie Santangelich nigdy nie było rozwodu - oznajmił Renzo spokojnie. - I mój nie będzie pierwszy. Jesteśmy małżeństwem, Maria Lisa, i zadbam, żeby tak zostało.

Zamilkł, patrząc, jak ona blednie, a potem dodał:

- Nie sądziłaś chyba, że pozwolę, by ten okres separacji trwał wiecznie?

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Taką miałam nadzieję.

- No to będziesz musiała zachować swój optymizm, dopóki śmierć nas nie rozłączy, *carissima*. - Jego głos brzmiał kategorycznie. - To była tylko chwila oddechu, nic więcej. Dałem temu jasno wyraz, ale ty wołałaś się łudzić. Zresztą to bez znaczenia. Jesteś moją żoną i zawsze nią będziesz.

Zacisnęła pięści, zadowolona, że fałdy spódnicy kryją ich drżenie.

- Czy po to przyjechałeś, żeby mi powiedzieć, że nigdy się od ciebie nie uwolnię? Przecież to śmieszne. Nie możemy dalej tak żyć. Ty prawdopodobnie też tego nie chcesz, tak jak ja.

- Choć w czymś się zgadzamy. Może to dobry znak.

- Nie licz na to.

- Z tobą Maria Lisa na nic nie liczę, możesz mi uwierzyć. *Tuttavia* - jednak, jestem tu po to, by cię zachęcić do powrotu do Włoch i do zajęcia swojego miejsca obok mnie.

Przez moment patrzyła na niego zaszokowana, a potem wykrzyknęła:

- Nie! Nie możesz. Nie zrobię tego.

Dolał sobie wina do kieliszka i napił się.

- Mogę zapytać, dlaczego nie?

Ze wzrokiem wbitym w ziemię odparła zduszonym głosem:

- Chyba znasz już odpowiedź na to pytanie.

- Ach... Mówisz, że nie jesteś gotowa wybaczyć pomyłek, które popełniłem podczas miesiąca miodowego. Ale nawet ty musisz przyznać, że to nie była wyłącznie moja wina, *mia cara*.

- Nie możesz mnie o to obwiniać - warknęła.

- Niczego ci nie obiecywałam.

- I tu mówisz prawdę, *mia bella*, bo nic mi nie dałaś. I nie możesz udawać, że nie znałaś warunków naszego małżeństwa.

- Nie, ale nie spodziewałam się, że zostaną wyegzekwowane w ten konkretny sposób.

- A ja nie spodziewałem się, że moja cierpliwość zostanie wystawiona na tak ciężką próbę.

- Jego oczy spotkały jej wzrok. - Może obydwójce nauczyliśmy się czegoś podczas tego nieszczęsnego miesiąca.

- Owszem. - Głos Marisy brzmiał twardo.

- Odkryłam, że tobie nie mogę ufać i dlatego właśnie nie pojedę z tobą do Włoch ani nigdzie indziej zresztą. Chcę zakończyć to tak zwane małżeństwo i nic, co powiesz czy zrobisz, nie sprawi, że zmienię zdanie.

- Nawet jeśli ci powiem, że mój ojciec jest chory i chce cię zobaczyć?

Podeszła powoli i usiadła na brzegu krzesła.

- *Zio* Guillermo... jest chory? Nie wierzę ci. Nigdy nie chorował.

- Zgadza się. Ale dwa dni temu miał zawał. Jak możesz sobie wyobrazić, przeżyliśmy szok, i on, i ja.

A teraz także ty, jak się wydaje.

- O mój Boże! Tak, oczywiście. Rozumiem...

- Przez moment milczała, a potem oblizwała wargi.

- Biedny *Zio* Guillermo. Czy stan jest bardzo poważny?

- Nie - odparł Renzo. - Miał szczęście tym razem. Widzisz, że jestem z tobą szczery - uśmiechnął się sarkastycznie. - W tej chwili jego życiu nic nie grozi. Potrzebuje jednak odpoczynku i musi unikać stresu, co nie jest łatwe, gdy nasze małżeństwo tak go martwi.

Marisa gwałtownie uniosła głowę.

- To jest szantaż! - powiedziała.

- Nazywaj to, jak chcesz. - Renzo wzruszył ramionami. - Niestety to także prawda. Ojciec obawia się, że nie doczeka wnuków. - Spojrzał jej w oczy.

- Maria Lisa, on nie zasługuje na takie rozczarowanie. Tak więc mówię, że nadszedł czas, byśmy wypełnili warunki naszej umowy i go uszczęśliwili.

Patrzyła na niego długo, a potem wyszeptwała cichutko:

- Chcesz powiedzieć, że mnie zmusisz, bym miała twoje dziecko?

Poruszył się niespokojnie.

- Do niczego nie będę cię zmuszał. To ci obiecuję. Proszę cię tylko, żebyś mi wybaczyła przeszłość i żebyśmy znowu zaczęli wspólne życie. Zobaczmy, czy możemy przynajmniej się zaprzyjaźnić, jeśli nie coś więcej.

Marisa zagryzła wargi.

- Ale ty nadal chcesz, żebym to zrobiła!
- To jedyny sposób, żeby mieć dzieci. Tak się ludzie kochają.

- Tego słowa nie da się odnieść do naszej sytuacji - stwierdziła lodowato.

Wzruszył ramionami.

- No wiesz, dziewczyna nie musi być zakochana w mężczyźnie, by czerpać przyjemność... Czyżby twoja uroczą kuzynka nie wspomniała o tym w naukach przedmażeńskich? - Zobaczył, że ona się czerwieni. - A więc jednak wspomniała.

- Nie podzielam tej opinii.

- I spodziewałaś się bardziej romantycznego spotkania dziś wieczór, a ja ci je zepsułem swoją niewczesną wizytą? - Uśmiech nie dotarł do jego oczu. - Moja biedna, *ti devo delie scuse*. Tyle mi musisz wybaczyć!

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Ale nie dzisiejszy wieczór. To była... moja pomyłka. - Jedna z wielu, zresztą, pomyślała.

- *Che solievo* - co za ulga! Zarezerwowałem bilety na samolot na jutro po południu. Mam nadzieję, że będziesz gotowa.

- Przecież nie mówiłam, że z tobą polecę! - W jej głosie słychać było niepokój.

- Fakt - przyznał. - Ale mam nadzieję, że się namyślisz. Bez względu na to, jak złe zdanie masz o mnie, mój ojciec zasługuje na wdzięczność z twojej strony. Twój powrót sprawiłby mu ogromną radość. Potrafisz mu tego odmówić? Zawahała się.

- Mogłabym go odwiedzić...

- *Nie, persempre*. Zostań na dobre. Musisz się

nauczyć być moją żoną, *mia bella*. Prowadzić dom, kierować służbą, traktować mojego ojca z szacunkiem, zabawiać moich przyjaciół i pokazywać się obok mnie publicznie. To zajmie sporo czasu, chociaż teraz powinno to już dla ciebie być jak oddychanie. Dość długo czekałem. Poza tym we wspólnie uzgodnionym czasie zaczniesz ze mną dzielić łożę, *capiscil*

Odwróciła się od niego.

- Tak, rozumiem. - Nabrała powietrza. - Ale ja nie mogę jechać jutro. Mam pracę i muszę dać odpowiednie wypowiedzenie.

- Twoja posada w Estrello Gallery jest tymczasowa - oznajmił Renzo swobodnie. - Jestem pewny, że *signore* Landford nie będzie robił trudności, gdy zrozumie twoją sytuację.

Odwróciła się gwałtownie i patrzyła na niego.

- Wiedziałaś o mojej pracy? Chcesz przez to powiedzieć, że kazałeś mnie śledzić?

- Jesteś moją żoną, Mariso. Musiałem się upewnić, że nie dzieje ci się nic złego.

- Szpiegując mnie? Mój Boże, to nikczemne!

- Zwyczajny środek ostrożności. - I dodał cicho. - Dla twojego dobra, *mia cara*. Nie odpowiadałaś na moje listy ani telefony. Musiałem utrzymywać z tobą jakiś kontakt.

- Szkoda, że ja o tym nie pomyślałam. Miałabym teraz potrzebne dowody, by uwolnić się od tego małżeństwa.

- Albo odkryłabyś, że niełatwo się mnie pozbyć. - Nalał wina do drugiego kieliszka i jej go podał. - Wznieśmy toast. Za przyszłość.

- Nie mogę. - Marisa schowała ręce za siebie. - Nie chcę być obłudna. To ostatnia rzecz na świecie, której się

spodziewałam. Musisz mi dać trochę więcej czasu...

- Miałaś kilka miesięcy na myślenie i na oswojenie się z sytuacją.

- Dla ciebie to takie proste.

- Jesteś moją żoną - powiedział. - Chcę, żebyś ze mną była. Nic skomplikowanego.

- Przecież wokół jest tyle innych dziewczyn. Jeśli nie rozwód, to może być unieważnienie. Powiedzielibyśmy, że nic się nie wydarzyło - w końcu to niemal prawda. Mógłbyś sobie wybrać kogoś, kogo pragniesz i kto ciebie pragnie.

- Nie ma mowy. Przyjechałem zabrać cię do domu, Maria Lisa, i chcesz tego czy nie, będę oczekiwał twojej zgody jutro przy śniadaniu. Nie zadowolili mnie żadna inna odpowiedź.

- Przy śniadaniu? - powtórzyła. - Chcesz, żebym przyszła do twojego hotelu?

- Nie będziesz musiała. Spędzę noc tutaj.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie możesz. To niemożliwe. Na pewno zauważyłeś, że mieszkanie jest na to za małe.

- Bo jest tylko jedna sypialnia, a w niej jedno łóżko? - zapytał nieco rozbawiony. - Owszem, widziałem. Ale to nie musi być przeszkoda. Objęła się ciasno ramionami.

- Ale jest. Bo, ja nie będę... O Boże, wiedziałam, że nie mogę ci ufać! - Głos jej się trząsał.

- *Calmati!* - warknął. - Uspokój się. Nie mam złudzeń, że nie pragniesz mnie bardziej niż podczas nocy poślubnej. Na razie to akceptuję. Jesteś całkiem bezpieczna, uwierz mi. Twoja sofa wygląda na wygodną, jeśli pożyczysz mi poduszkę i koc.

- Będziesz spał na sofie? Uniósł pytająco brwi.

- Czy jakiś przepis tego zabrania?

- Och, nie! - Westchnęła ciężko. - Skoro postanowiłeś tu zostać, pójdę po to, czego potrzebujesz. I po ręcznik.

- *Grazie mille* - skwitował jej słowa. - Mam nadzieję, że nie będziesz skąpić gościnności naszym gościom.

- Goście - odwarknęła - na ogół są zaproszeni. I mile widziani.

- A ty nie potrafisz sobie wyobrazić, że może nadejść taki dzień, kiedy będziesz się cieszyć, że mnie widzisz, prawda? - zapytał pozornie nie-speszony.

- Prawdę mówiąc, nie.

- A przecież pamiętam czasy, gdy twoje uczucia dla mnie nie były tak wrogie.

Wspomnienie o tym, jak beznadziejnie uwielbiała go kiedyś, zabolą ją, ale głos miała lodowaty.

- Na szczęście to nie trwało długo. Skończyło się, gdy zdałam sobie sprawę, kim naprawdę jesteś.

- Może powinniśmy zakończyć tutaj. Chyba nie chcę się dowiedzieć, co odkryłeś.

- Boisz się prawdy?

- Wcale nie. Kiedy to jest prawda. - Spojrzał na nią poważnie i zacisnął usta. - Ale przysiągłem sobie na pamięć mojej matki, że nie dam ci się znowu wyprowadzić z równowagi, żebyś nie wiem jak mnie prowokowała. - Umilkł na chwilę znacząco. - Jednak moja tolerancja ma swoje granice. Radzę ci ich nie przekraczać.

- Bo co? Co jeszcze możesz mi zrobić?

- Lepiej, żebyś się tego nie dowiedziała - stwierdził, a w jego głosie zabrzmiała nuta, która ją zmroziła.

- A teraz idź po ten koc, *per favore*.

Przeszła przez pół pokoju, gdy zdała sobie sprawę,

że on za nią podąża.

- Nie musisz iść za mną.

- Moja torba jest w przedpokoju. A poza tym chcę wziąć prysznic.

- Na wszystko masz odpowiedź, co?

Nadal odczuwała skutki szoku wywołanego jego obecnością w jej mieszkaniu. Na dodatek czekał tylko po to, by zażądać tego, co - miała nadzieję - zostało dawno zapomniane.

Pozwoliła sobie uwierzyć, że jest wolna. Ze chwila oddechu, którą jej ofiarowano, stała się stałym rozstaniem i że ich małżeństwo się skończyło.

Ale tylko siebie oszukiwałam, pomyślała żałośnie. To nie mogło być takie łatwe.

Teraz zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie byli rozdzieleni. W istocie łączyła ich niewidzialna lina. I wystarczyło jedno szarpnięcie Renza. Przyciągnął ją z powrotem, żeby wypełniła obietnicę złożoną pewnego sierpniowego dnia w zatłoczonym kościele pełnym słońca.

No i oczywiście, by zwróciła jemu i jego rodzinie niewielką część swojego ogromnego, przytłaczającego długu w jedynej dostępnej dla siebie walucie.

Mogłaby odmówić wspólnego powrotu do Wioch. Przecież jej nie porwie. Ale nawet gdyby żyli osobno, nie było gwarancji, że ich małżeństwo kiedykolwiek się skończy z prawnego punktu widzenia. Powiedział jej wyraźnie, że jest jego żoną i nadal nią będzie. On ma pieniądze i prawników, może więc jej narzucić swoją wolę w tej kwestii i trzymać ją na uwięzi bez nadziei na uwolnienie.

Alternatywą było posłuchać niesmacznej rady Julii. Dać Renzowi syna, którego potrzebuje. Potem ich związek

najprawdopodobniej będzie istniał tylko z nazwy, a ona będzie mogła stworzyć dla siebie całkiem nowe życie i znaleźć jakąś postać szczęścia.

Zabrała koc i poduszki do salonu. Na progu stanęła jak wryta. Jej przestraszonym oczom ukazał się Renzo bez koszuli, ukazujący zbyt dużo opalonego ciała, rozpiął już bowiem pasek od spodni.

Odezwała się lodowatym tonem:

- Wolałabym, żebyś się rozbierał w łazience.

- A ja wolałabym, żebyś się przyzwyczaiła do tego, że masz męża, *mia bella* - odparł równie chłodno.

Obejrzał ją powoli od góry do dołu, z rozmysłem zatrzymując wzrok na zapięciu spódnicy. - Gdybyś ty rozebrała się w mojej obecności, nie miałbym zastrzeżeń - dodał żartobliwie.

Położyła pościel na dywanie i wyszła niespiesznie.

Ale kiedy znalazła się w bezpiecznym zaciszu swojej sypialni, oparła się o ścianę, z trudem łapiąc oddech, jakby przebiegła kilometr w rekordowym czasie.

Och, dlaczego w zamku drzwi do sypialni nie ma klucza? Czułaby się pewniej.

Tyle że to byłoby oszukiwanie się, wiedziała o tym dobrze. Nie ma bowiem na świecie takiego zamka, zasuwy czy łańcucha, który powstrzymałby Renza Santangelego, gdyby postanowił ją zdobyć.

Musiała stawić czoło faktowi, że dziś w nocy będzie ją chronić wyłącznie jego obojętność. Ta myśl, ku jej zaskoczeniu, nie sprawiła jej wcale przyjemności.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sofa, myślał Renzo ponuro, nie jest wcale tak wygodna, na jaką wyglądała.

Ale nawet gdyby była miękka jak puch łabędzi i dość długa, by się na niej cały zmieścił, trudno byłoby mu zasnąć.

Założył ręce pod głowę i leżał, gapiąc się w sufit, a w głowie kłębiły mu się myśli.

Miał dość poczucia rzeczywistości, żeby nie spodziewać się, że w Londynie znajdzie uległą pannę młodą, ale także nie oczekiwał aż takiej bezkompromisowości. Sądził, że ten czas z dala od niego może nieco złagodził jej podejście. Żeby chociaż mieć podstawę do negocjacji.

A tu wygląda na to, że Marisa nie zamierza mu wybaczyć - albo zapomnieć - tak więc wszelkie plany całkiem nowego początku spełzły na niczym.

Najprościej byłoby oczywiście zgodzić się na tak zwane unieważnienie, które ona zaproponuje, i odejść. Przyznać, że ich małżeństwo nie miało szans na sukces.

Dni przed ślubem wydawały się nierealne. Marisa

jak dusza potępiona znikąła, gdy on się zbliżał, a kiedy musiała pozostać w jego obecności, odzywała się tylko pytana.

Z jednym wyjątkiem. Podczas kolacji przyłapał ją, jak mu się przyglądała. Serce podskoczyło mu z radości.

Pamiętał, że nie mógł się doczekać, by goście wyszli. Chciał ją zaprosić na spacer w ogrodzie przy księżycu. Mówił sobie, że oto nadarza się okazja do delikatnych zalotów wobec niechętnej narzeczonej, a jeśli tak, w pełni z niej skorzysta.

Ale kiedy pożegnania dobiegły końca i poszedł jej szukać, schroniła się już w swoim pokoju i szansa minęła, zwłaszcza że on musiał wracać do Rzymu bardzo wczesnym rano.

Nie potrafił jednak zapomnieć, że na moment podniosła przyłbicę. Że dostrzegła w nim mężczyznę i odpowiednio zareagowała.. A kiedy pocałował ją w rękę, zaczerwieniła się bezradnie.

Co sugeruje, że jeśli w jej zbroi jest jedna szczelina, z pewnością znajdują się i inne.

Nie był więc gotów uznać swojej porażki. Jakoś ją przekona, by zgodziła się zapomnieć o przeszłości i zaakceptowała go jako swojego męża. To postanowienie wzmocniła niechciana poranna rozmowa z babką.

Przyszedł odwiedzić ojca w klinice dokładnie w chwili, gdy ona wychodziła. Rzuciła się na niego natychmiast i kazała mu iść za nią do pustej poczekalni. Posłuchał z zaciśniętymi zębami.

- Twój ojciec mówi mi, że lecisz do Anglii i będziesz próbował pogodzić się z tą lekkomyślną dziewczuchą - odezwała się kwaśno, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. - Całkowita strata czasu, mój drogi Lorenzo.

Mówiłam mojej córce dziesiątki razy, że małżeństwo takiej źle dobranej pary może się skończyć tylko katastrofą. I miałam rację. Ta dziewczyna okazała się całkowicie niegodna rodziny Santangelich. Moja biedna Murcia niestety nie chciała mnie słuchać, ale ty musisz. Rozwiąż to małżeństwo natychmiast. Tak jak zawsze radziłam, znajdź sobie dobrą włoską żonę, która będzie wiedziała, czego się od niej oczekuje, i która się odda dbaniu o twoją wygodę.

- Oczywiście masz kogoś na myśli, *Nonna* Teresa? - Uśmiechnął się czarująco. - A może nawet więcej niż jedną kandydatkę? Pamiętam, że przedstawiłaś mi całemu szeregowi młodych kobiet, gdy zapraszałaś mnie na kolację.

- Dogłębnie przemyślałam sprawę - jego babka przyznała łaskawie. - I czuję, że powinieneś wybrać Doroteę Marcona. To córka starego przyjaciela, urocza, pobożna dziewczyna, która nigdy nie wprawi cię w zakłopotanie.

- Dorotea? - Renzo zamyślił się na chwilę. - Czy to nie ta, która nie przestaje gadać, ta zezowata?

- Ma lekkie zwichrowanie w jednym oku - zgaśniła go. - Łatwo da się naprawić chirurgicznie.

- Za co oczywiście musiałbym zapłacić, jako że rodzina Marcona nie ma pieniędzy. - Renzo potrząsnął głową. - To ty tracisz czas, babciu. Marisa jest moją żoną i nadal będzie.

- Co to za żona - powiedziała jego babka złośliwie - kiedy mieszka na drugim końcu kontynentu. Wasze rozstanie w każdej chwili grozi skandalem, zwłaszcza po jej żenującym zachowaniu podczas ślubu. - Zaciśnęła usta w cienką linię. - Nie zapomniałeś chyba, jak cię upokorzyła?

- Nie - odparł Renzo spokojnie. - Nie zapomniałem.

W istocie dzięki wysiłkom *Nonny* Teresy to wspomnienie ciągle go uwierało, nie tylko w drodze na lotnisko, ale przez cały lot, gdy nie pozwoliło mu zająć się pracą. Dlatego do Londynu doleciał w nie najlepszym humorze, chociaż powinien być gotów na pojednanie. Na dodatek żony nie było w domu.

A kiedy wróciła, nie była sama, pomyślał zirytowany. Nie z Landfordem - a sądził, że to z nim będzie miał do czynienia - ale z kimś, kto powinien należeć do historii.

Na domiar złego jego młoda żona wcale nie była speszona i nie okazała ani odrobiny skruchy, że zadaje się z dawnym chłopakiem.

No ale atak zawsze był jej ulubioną formą obrony, przypomniał sobie ponuro, gdy jego myśl wróciła do dnia ślubu.

Zawsze uważałem to, co się wtedy stało, za początek jego małżeńskich kłopotów, ale teraz nie jestem już taki pewny, myślał kręcąc się na sofie i waląc w Bogu ducha winną poduszkę. A może te problemy istniały od samego początku? Nawet wtedy, gdy poprosił Marisę o rękę i poczuł emanujące z niej napięcie? Zmusiło go to do zastanowienia się, ile cierpliwości będzie od niego wymagało nawiązanie z nią jakiegokolwiek fizycznej relacji.

Niemniej koniec ceremonii ślubnej trzeba uznać za podzwonne wszystkich moich dobrych intencji względem panny młodej, pomyślał, zaciskając usta.

Przypominał sobie wyraźnie, jak wglądała, gdy podeszła do niego przy ołtarzu starego kościoła parafialnego w Montecalento. Niemal eteryczna postać w zwojach białego jedwabiu, tak młoda i śliczna, że serce

ścisnęło mu się na jej widok, dopóki nie zobaczył bladej, ściągniętej twarzy.' Wtedy nagle pożądanie zastąpiło współczucie. Ponowił w myślach przyrzeczenie, że będzie cierpliwy i da jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała, by zaakceptować nową sytuację.

Pamiętał także, że jej dłoń drżała w jego ręku, gdy wkładał jej na palec prostą obrączkę. Nie było żadnej reakcji na delikatny, podnoszący na duchu uścisk jego palców.

Myślał wtedy, że Marisa wydaje się nieobecna, jakby była gdzieś indziej, daleko od niego.

Biskup wypowiedział ostatnie błogosławieństwo. Renzo odwrócił się do niej i podniósł welon.

Pochylił się, by ją pocałować, bardzo łagodnie i delikatnie, chcąc ją zapewnić tą czułą powściągliwością, że dotrzyma słowa, że nie musi się niczego bać, gdy zostaną sami wieczorem.

Ale zanim dotknął jej warg, spojrzała na niego wzrokiem pełnym pogardy, a potem odwróciła głowę, tak że jego usta wypełnił tiul i pasma jej włosów.

Biskup był wyraźnie zaszokowany, a przez zgromadzony tłum przebiegł szmer. Renzo nie miał wątpliwości - wszyscy zauważyli, że jego świeżo poślubiona żona publicznie odrzuciła pierwszy pocałunek męża. I że z rozmysłem zrobiła z niego głupka.

Potem oczywiście musiał przejść całą długość kościoła z Marisą u boku, zmuszając się do zre-laksowanego uśmiechu, podczas gdy zdumione lub rozbawione spojrzenia gości budziły w nim wściekłość.

Od tej chwili czułość należy do przeszłości, postanowił zagniewany. Marzył o tym, by znaleźć się ze swoją nową żoną sam na sam w jakimś ustronnym miejscu,

przełożyć ją przez kolano i spuścić jej porządne lanie.

Zamiast tego była męka ślubnego obiadu, wydanego w pełnym słońcu na głównym placu, by całe miasto mogło dzielić się szczęściem przyszłego markiza z jego nową żoną. Były śmiechy, toasty, słodkie migdały, a potem razem z Marisą mieli zainaugurować tańce.

Co ona wtedy zrobi? - zastanawiał się. - Odepchnie go? Nadepnie mu na nogę? Bóg jeden wie.

Jednak nastąpiła w niej jakaś przemiana, bo przeszła przez wymagany rytuał z pozorną uległością - chociaż Renzo pomyślał rozgoryczony, że są chyba jedynymi nowożeńcami na świecie, którzy przez pierwsze dwie godziny swojego małżeństwa nie odezwali się do siebie ani słowem.

Ciszę przerwał dopiero wtedy, kiedy siedzieli obok siebie we względnej prywatności limuzyny.

- Jak śmiałaś zrobić coś takiego? Co w ciebie wstąpiło, żeby odmówić mi pocałunku i zawstydzić mnie na oczach wszystkich?

- Właśnie dlatego. Nigdy nie próbowałeś mnie pocałować i to, uwierz mi, bardzo mi odpowiadało. A teraz nagle, odgrywasz żarliwego pana młodego, żeby dobrze wypaść w oczach swoich przyjaciół i rodziny. Żeby pomyśleli, że to jest prawdziwe małżeństwo, a nie spłata długu, nędzna transakcja, której żadne z nas nie chce. - Potrząsnęła głową. - Nie będę udawać, że jest inaczej. I ty mnie do tego nie zmusisz.

Zapadła cisza, a potem Renzo odezwał się lodowatym tonem:

- Skończyłaś?

Marisa przytaknęła i zapatrzyła się w okno samochodu.

Tylko że to nie był wcale koniec, myślał teraz, owijając się kocem. Wręcz przeciwnie, zaczęła się cała seria zdarzeń, których reperkusje nadal mają wpływ na ich życie. I Bóg jeden wie, jak to się skończy.

Marisa, zwinięta w kłębek pośrodku łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę, starając się odgrodzić od wiecznego szumu londyńskiego ruchu ulicznego wpadającego przez otwarte okno, jakby nie mogła spać wyłącznie z tego powodu.

Nieoczekiwane pojawienie się Renza pobudziło każdy nerw w jej ciele, podczas gdy jej umysł zajmował się bez końca szczegółową analizą jego słów.

Zwłaszcza jego niepokojącym twierdzeniem, że obydwójce popełnili błędy, które spowodowały porażkę ich małżeństwa.

Przecież to jest tylko jego wina. Powtarzała to sobie jak mantrę przez niekończący się koszmar miesiąca miodowego i później. Wierzyła w to święcie od początku. Ale teraz już nie była taka pewna.

Powinna pozwolić, żeby ją pocałował w czasie ślubu, dobrze o tym wiedziała. Zdała sobie sprawę, że lepiej by było, żeby po prostu stała i zaakceptowała to, co się dzieje. Gdyby nie zareagowała - nie odpowiedziała pocałunkiem na jego pocałunek - osiągnęłaby cel, ale zostałoby to tylko między nimi dwojgiem. Nikt inny by się nigdy nie dowiedział. A zwłaszcza Julia.

- Czy ty zwariowałaś? Dobry Boże, ależ on musi być wściekły! Jeśli jesteś mądra, zapomnisz dziś wieczór o swoim małym buncie. Jedyne, co cię może ocalić, to zrobić to, do czego cię wynajęto.

- Dziękuję za zbędne przypomnienie - odparła Marisa wyzywająco. Jej postanowienie, by pójść do Renza

i powiedzieć mu, że nerwy jej puściły i że żałuje tego, co zrobiła pod wpływem impulsu, stopniało jak lody na słońcu.

Nastrój wcale się jej nie poprawił podczas długiej, milczącej podróży do miejsca, gdzie mieli spędzić miesiąc miodowy, niedaleko Amalii. Zdała sobie sprawę, że jest z nim sam na sam po raz pierwszy od jego oświadczyn. Ta myśl ją zaniepokoiła.

Ignorował mnie już przecież, myślała smętnie, rzucając ostrożne spojrzenie na jego kamienny profil, ale to się działo wcześniej, gdy byłam młodsza, a on uważał mnie za utrapienie. Nie dlatego, że był zły czy upokorzony. Wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić za to, co zrobiła.

Cisza między nimi zaczęła jej ciążyć. Zapytała więc:

- Ta willa stoi w samym Amalii?

- Nie, w miasteczku nieco dalej.

Jego ton nie brzmiał zachęcająco, ale ciągnęła dalej:

- I należy do twojego ojca chrzestnego?

- Tak, to jego letnia rezydencja.

- To miło, że jej nam użyzcza.

Lekko wzruszył ramionami.

- To spokojne miejsce nad morzem. Wydawało mu się, że będzie dość romantyczne dla nowożeńców na początku wspólnego życia. - I dorzucił szorstko: - A ponieważ był na ślubie, teraz na pewno zdaje sobie sprawę ze swojej pomyłki.

No i po rozmowie.

Spojrzała na swoje długie, smukłe nogi, na zgrabne stopy w eleganckich sandałkach, tego samego niebieskiego koloru co sukienka bez rękawów.

Na ogół nie bywała w gabinetach kosmetycznych, do fryzjera chodziła tylko obciąć włosy, ale to się zmieniło,

gdy zabrano ją do Florencji.

Znosiła starania różnych kosmetyczek i wizażystek w stanie niemego buntu. Nie było nic zabawnego w tym, że z rozmysłem przygotowywano ją dla przyjemności mężczyzny.

Kosmetyczki wyobrażały sobie oczywiście, że ona rozkoszuje się tymi wszystkimi przygotowaniem, bo jest zakochaną i chce być piękna dla swojego ukochanego. Widziała skrywaną zazdrość na ich twarzach. No bo która dziewczyna nie chciałaby spędzać nocy w ramionach Lorenza?

Gdyby tylko wiedziały, pomyślała żałośnie, zastanawiając się, jakie inne kobiety spędzały czas na przygotowaniach dla niego.

Jeszcze tego samego ranka do willi przyszły dwie dziewczyny - jedna, by ją uczesać, druga - umalować. Dostała nawet w prezencie kuferek z kosmetykami, które zostały użyte. Prawdopodobnie po to, by sama robiła się na bóstwo.

Tyle że to wszystko było całkowitą stratą czasu i wysiłku. Renzo ożenił się z nią z rozsądku, nie była obiektem jego romantycznych pragnień. Chciał tylko znaleźć matkę dla swojego dziedzica, a ona jest młoda, zdrowa i odpowiednio niewinna.

Nie o takim losie dla siebie marzyła. Ale jest, jak jest i musi nauczyć się czerpać z tego tyle korzyści, ile się da.

Lepiej by było, gdybym zaakceptowała ten pocałunek w kościele, pomyślała skrepowana. Przynajmniej ten tak zwany miesiąc miodowy zaczęliby odzywając się do siebie. Podczas gdy teraz...

Nawet tak późno mogłaby pokusić się o poproszenie

go. Przynajmniej spróbować poprawić sprawy między nimi.

Ale znajdowali się na środku autostrady, poza tym ma przecież cały miesiąc na poprawę sytuacji.

Oczywiście, jeśli tego zechce. W tej chwili czuła się zbyt niepewnie, by o czymkolwiek decydować.

Gdy zobaczyła pierwsze miasteczko z białymi domkami w świetle zachodzącego słońca westchnęła z zachwytu. Droga co prawda stanowiła niemałe wyzwanie, jako że wiała się wzdłuż wysokich klifów z jednej strony, a nad przepaścią z drugiej. Renzo zdawał się tego nie zauważać, pewnie pokonywał

jeden zakręt za drugim, tak więc i ona starała się wyglądać na zrelaksowaną. Chyba nie bardzo jej się to udało, sądząc po prawdziwie sardonicznym spojrzeniu, które jej rzucił.

- Mógłbyś patrzeć na tę cholerną drogę? - mruknęła pod nosem.

Jej zdenerwowanie nie wynikało tylko z kaprysów *Costiera Amalfitana*. Wyraźnie zbliżali się do celu, gdzie będzie z nim mieszkać pod jednym dachem, nie jako gość, ale jako jego żona.

Renzo skręcił w otwartą kutą bramę na żwirowy podjazd, który prowadził do dużego, parterowego domu z dachem pokrytym wyblakłymi dachówkami. Krzewy i pnącza w kwiatach na wpół skrywały białe mury.

- *Ecco*, La Villa Santa Caterina - powiedział cicho zimnym tonem. - Pracownicy mojego ojca chrzestnego czekają, by nas powitać, udawajmy więc, że cieszymy się z przyjazdu tutaj, bardzo cię proszę.

Wziął ją za rękę i poprowadził ku szeroko uśmiechniętej trójce.

- Marisa, to jest Massimo, majordomus. - Wskazał niewysokiego, szczupłego mężczyznę w szarej, lnianej marynarce i spodniach w prążki.

- A to Evangelina, jego żona, która prowadzi dom i gotuje oraz Daniella, ich córka. Pracuje tu jako pokojówka.

Evangelina musi być bardzo dobrą pracownicą, pomyślała Marisa, uśmiechając się i wypowiadając kilka słów w kulawym włoskim do dużej, sympatycznej kobiety o błyszczących oczach, dwa razy większej od swojego męża. Daniella także należała do puszystych.

Evangelina z wielką pompą poprowadziła Marisę do obszernej sypialni na tyłach domu. Zajmowało ją głównie wielkie łóżko nakryte kapą haftowaną w złote kwiaty. W wezglowiu piętrzyły się poduszki, na których spoczywała maleńka gałązka słodko pachnącej lawendy.

Zupełnie jak na scenie w teatrze, pomyślała Marisa, świadoma nieśmiałego, acz znaczącego spojrzenia Evangeliny. Ale wbrew oczekiwaniom gospodyni, główna bohaterka tego dramatu będzie spała dzisiaj sama i w najbliższej przyszłości zresztą też.

Po drugiej stronie pokoju znajdowały się otwarte drzwi, w których było widać łazienkę wyłożoną zielonkawym marmurem. Kolejne drzwi prowadziły do garderoby, a w następnych widać było drugą sypialnię, podobną do tej, w której się znajdowała, tyle że kapa na łóżku była w złoto kremowe pasy.

To na pewno pokój Renza, przynajmniej na jakiś czas, pomyślała. Nagle zaschło jej w ustach. Z ulgą zauważyła, że i ten pokój ma łazienkę.

Szybko stamtąd wyszła, uśmiechnęła się z trudem do Evangeliny, zapewniając ją, że wszystko jest cudowne, co wyraźnie sprawiło kobiecie przyjemność.

Marisa chciała się rozpakować, ale Evangelina zaprotestowała, że to zadanie Danielli. Jej córka będzie zachwycona, że może usługiwać młodej żonie signora Lorenza.

Tyle dobrej woli, myślała Marisa ironicznie, gdy Evangelina prowadziła ją do *salotto*, gdzie czekała na nią kawa. Ale co z tego zostanie, kiedy pracujący tu ludzie zorientują się, że młoda żona *signore* Lorenza nie spełnia niczyich oczekiwań?

Przygotowała się na kolejne milczenie, ale Renzo zachowywał się z grzeczną kurtuazją, pokazał jej uroczy taras, na którym będą spożywać posiłki, i wyjaśnił, że skalisty teren wymusił tarasową budowę ogrodów z basenem na samym dole.

- Mój chrzestny mawia, że te schody zapewniają mu zdrowie - powiedział Renzo i dodał lekko rozbawiony: - A jego żona od dawna twierdzi, że to część spisku mającego na celu jej śmierć. Co jej nie przeszkadza zażywać kąpieli codziennie.

Marisa zerknęła przez balustradę w zieloną głębię.

- Może masz ten sam zamiar? - doszła do wniosku, że warto dołączyć do tego żarciku.

- Czemu nie. - Renzo przyglądał się jej uważnie. - Ciebie, *mia bella*, zamierzam zdecydowanie utrzymać przy życiu.

Nikt nie jada wcześniej we Włoszech i ona była do tego przyzwyczajona, ale kiedy nadeszła pora kolacji, zmęczenie nie pozwoliło jej cieszyć się doskonałą kuchnią Evangeliny. Renzo także dostrzegł jej brak apetytu.

- Nie jesteś głodna? A może wolałabyś zjeść coś innego?

- Och, nie - pospieszyła zaprzeczyć. - Ryba jest

wspaniała. Po prostu jestem bardzo zmęczona i chyba zaczyna mnie boleć głowa. Przeproś ode mnie Evangelinę.

- Oczywiście - odparł grzecznie, wstając od stołu. - *Buona notte, mia cara.*

Skierowała się ku drzwiom, rozpaczliwie starając się nie wyglądać, jakby uciekała. W sypialni czekało na nią pościelone łóżko, a na kołdrze leżała delikatna, biała koszulka nocna. Kolejna dekoracja teatralna, pomyślała. Na szczęście dzisiejsze przedstawienie dobiegło końca.

Wzięła ciepłą, aromatyczną kąpiel, po czym położyła się do łóżka.

Potrzebny mi jest sen, doszła do wniosku. Wszystko lepiej wygląda rankiem. Zawsze.

Właśnie miała się przewrócić na drugi bok, gdy dobiegł ją jakiś dźwięk. Usiadła gwałtownie, a w drzwiach pojawił się Renzo.

- Co ty tu robisz? - zapytała zduszonym głosem.

- Dziwne pytanie, *mia bella*, do męża, gdy odwiedza cię w sypialni w noc poślubną.

- Przecież mówiłam, że jestem zmęczona. Wydawało mi się, że to przyjąłeś do wiadomości.

- I że boli cię głowa. - Renzo przytaknął. - A teraz z pewnością wymyśliłaś już z pół tuzina sposobów, żeby mnie trzymać na dystans. Zachowaj je na przyszłość, bo dziś w nocy nie będą ci potrzebne. - Usiadł na brzegu łóżka.

Marisa bała się poruszyć, żeby nie pomyślał, że jest zdenerwowana. Widywała go już bardziej skąpo ubranego, gdy pływał lub się opalał, ale tym razem było jakoś inaczej.

- Nadal mi nie powiedziałaś, po co tu przyszedłeś.

- Chciałem ci życzyć dobrej nocy.

- Już to zrobiłeś na dole.

- Ale uważam, że musimy sobie coś wyjaśnić. Nie zaczęliśmy dobrze i powinniśmy temu od razu jakoś zaradzić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wyrzucałaś mi dzisiaj, że nie zalecałem się do ciebie zbyt żarliwie. Ale zachowywałem się tak, bo sądziłem, że tego właśnie chcesz.

- I tak było.

- Ale skoro to prawda, po co o tym w ogóle wspominać? - zapytał łagodnie.

Odpowiedziała wyzywająco.

- Po prostu chciałam ci dać do zrozumienia, jaką obłudną farsą jest cała ta sprawa. I że nie będę publicznie odgrywać jakiejś roli tylko po to, żeby być w zgodzie z konwenansami.

- Jaka ty jesteś zasadnicza - stwierdził i przysunął się troszkę do niej. - Ale teraz jesteśmy całkiem sami, *mia cara*. I nikt nie zobaczy, czego od ciebie chcę.

- Obiecałaś, że nie będziesz mi się narzucać. Idź już więc.

- Za chwilę. Kiedy dostanę to, po co przyszedłem.

- Nie rozumiem.

- To całkiem proste. Chcę cię pocałować na dobranoc, Maria Lisa. Wziąć z twoich ślicznych ust to, czego mi odmówiłaś dziś rano, nic więcej.

- Mówiłaś, że poczekaasz...

- I to zrobię. - Pochylił się i odgarnął pasmo włosów z jej twarzy. - Wydaje mi się jednak, że kiedy przyjdiesz do mnie jako moja żona, będzie nam obydwójgu łatwiej, jeśli przywykniesz do mojego dotyku, a moje ramiona nie będą cię już przerażać.

- Co ty wygadujesz, *signore!* - Jej głos brzmiał

niemal dziecinnie. - Że uznam twoje pocałunki za tak nieodparte, że będę chciała ich coraz więcej? Że koniec końców ciebie zapragnę? - Potrząsnęła głową. - To się nie stanie. Możesz przedstawiać to, co zrobiłeś, jak chcesz. Nic nie zmieni faktu, że mnie kupiłeś. Cokolwiek mi zrobisz, będzie tylko trochę lepsze niż zalegalizowany gwałt.

Zapadła straszna cisza, a potem Renzo odezwał się nazbyt spokojnym tonem:

- Nigdy więcej nie mów do mnie w taki sposób, Maria Lisa. Rozumiesz? Powiedziałem ci, że nie będę cię do niczego zmuszał i zamierzam to zrobić. Ale byłabyś głupia, gdybyś wystawiała moją cierpliwość na próbę kolejny raz w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Twój zły humor to pestka wobec ruiny mojego życia, *signore* Santangeli. Nieważne. Nie mam zamiaru cię całować. Idź już stąd. Natychmiast.

- Nie sądzę. - Renzo złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Puść mnie! - Zaczęła się wyrywać. - Nie zrobię tego.

- *Mia cara*, to niemądre. - Mówił łagodniejszym tonem, w którym pobrzmiwało nawet rozbawienie. - Tyle zamieszania o tak niewiele. Jeden pocałunek i sobie pójdę, przysięgam.

- Idź do diabła! - Podczas szarpaniny jedno z ramiączek jej koszulki nagle pękło i ukazała się krągła pierś.

Marisa zamarła z przerażenia. Renzo także przestał się z nią siłować. Wyraz jego twarzy zmienił się, objął pierś dłonią, a przez nią przeszedł prąd, co wprawilo ją w prawdziwe przerażenie.

- Nie dotykaj mnie. Ty draniu!

Zaczęła młócić pięściami, gdzie popadnie. Trafiła go w twarz. Sapnął z bólu i cofnął się, podnosząc rękę do policzka. Zapadła cisza.

Zabrakło jej tchu w piersiach. O Boże, co ja zrobiłam? pomyślała. Pragnęła go zawołać, powiedzieć cokolwiek, że nie chciała go uderzyć, a w każdym razie nie tak mocno. Tyle że jej na to nie pozwolił. Wstał z łóżka i poszedł do swojego pokoju, trzaskając drzwiami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nawet po tak długim czasie to wspomnienie ją dręczyło.

Nigdy przedtem tak się nie zachowałam, myślała. Przecież nie jestem gwałtowna, albo przynajmniej tak mi się wydawało do tamtej chwili. A potem - bum! Stało się. Tylko że to wcale nie było zabawne.

Do tego stopnia jej to nie rozbawiło, że musiała ukryć twarz w poduszce, by stłumić szloch, który nią wstrząsał.

Ale dlaczego płakałam? - zadawała sobie to pytanie, próbując znaleźć wygodne miejsce w łóżku. - W końcu to było paskudne, co zrobiłam, zgadzam się, ale udało mi się go pozbyć z mojego pokoju, a tego przecież chciałam.

I nigdy nie wrócił. Nawet potem...

Zamknęła oczy. Próbowwała się uwolnić od wizji, które nadal ją dręczyły, zmuszając ją do ciągłego rozmyślenia o tym, co się zdarzyło tamtej nocy, a nawet jeszcze bardziej zawstydzająco - następnego dnia...

Kiedy nabrała pewności, że Renzo poszedł, najpierw

zmyła łzy z twarzy i zmieniła koszulę nocną, chociaż to nie zmniejszyło wspomnienia o szoku wywołanym przez dotyk jego ręki na jej nagiej piersi.

Zdała sobie sprawę, jak łatwo zmysły mogą przejąć nad nią kontrolę i sprawić, że zapomni, dlaczego naprawdę są razem.

Zgodziła się na to małżeństwo tylko po to, by zwrócić ogromny dług i sprawić przyjemność choremu człowiekowi, który był dla niej dobry.

Lorenzo z kolei zaakceptował ten układ z poczucia obowiązku wobec rodziny i by dotrzymać obietnicy danej umierającej kobiecie.

- O matko chrzestna - wyszeptała cicho - jak mogłaś mi to zrobić? Obydwojgu nam?

Założyła, że propozycja Renza, by odłożyć skonsumowanie małżeństwa, oznacza jego obojętność.

Teraz nie wiedziała, co myśleć.

Wyglądało na to, że niewybredne uwagi Julii mogą się opierać na prawdzie. Ze istotnie jej niewinność stanowi dla niego nowość po doświadczonych kobietach, do których jest przyzwyczajony.

Od początku wiedziała, że noce spędzone z jej mężem okażą się w najlepszym wypadku obrzydliwie krępujące. No ale na pewno nie będzie to trwało ciągle. Renzo bez wątplenia szybko się zmęczy jej seksualną naiwnością.

Z jednej strony знаła go aż za dobrze, z drugiej zaś wcale. Ale perspektywa spania z nim śmiertelnie ją przerażała.

Próbowała zminimalizować swój strach, mówiąc sobie, że on pragnie tylko dziecka, syna, by odziedziczył nazwisko Santangeli i potęgę oraz bogactwo, które

reprezentuje. Czas przed ślubem spędziła na wmawianiu sobie, że musi zaakceptować transakcję, znieść wszystko, co się zdarzy. Jej postanowienie znikło, gdy tylko Renzo spróbował ją pocałować pierwszy raz. Wpadła w panikę.

Miałam ku temu podstawy, broniła się sama przed sobą. W wieczór jej dziewiętnastych urodzin zaczęła się zastanawiać, czy on przypadkiem nie chce od niej czegoś więcej niż niechętna uległość. A ostatnie pół godziny tylko potwierdziły jej najgorsze obawy - dlatego rzuciła się na niego jak dzika.

Relacje z nim nigdy nie należały do łatwych, pomyślała smutno. Wiódł własne życie, w jej egzystencji jawił się jako ktoś niezwykle elegancki i jednocześnie wyniosły. Niezobowiązująco miły dla niej, gdy mu to odpowiadało, czasami nawet uczył ją grać w tenisa czy pływać, chociaż nigdy przy tym nie okazywał wielkiego entuzjazmu. Musiał to robić na prośbę swojej matki - zdała sobie z tego sprawę później.

Wszystko się skończyło w trybie natychmiastowym. Tak bardzo pragnęła, by choć raz spojrział na nią jak na kobietę, a nie dziecko, że postanowiła naśladować jedną z dziewczyn, które były jego gośćmi w willi, i „zgubiła” górę od swojego bikini. Pływała wtedy w basenie tylko z nim. I doświadczyła z całą mocą jego lodowatego niezadowolenia.

- Jeśli wydaje ci się, że zrobisz na mnie wrażenie, tak się zachowując, to się grubo mylisz, Maria Lisa. Jesteś za młoda i zbyt niedoświadczona, żeby być kusicielką, mój ty bocianie. Przynosisz wstyd nie tylko sobie samej, ale także moim rodzicom. - Z pogardą rzucił jej górę od kostiumu. - A teraz okryj się i idź do swojego pokoju.

Upokorzona i udęczona uciekła stamtąd,

pogardzając sobą za to, że tak otwarcie ujawniła swoje uczucia. Była też nieszczęśliwa z powodu rezultatu tej chybionej próby.

Ulęgę poczuła dopiero wtedy, gdy jej wizyta w Toskanii uległa odroczeniu. Z czasem udało się jej nawet przekonać samą siebie, że jej małżeństwo to tylko sentymentalne pogaduszki dwóch matek, których na szczęście nie trzeba brać serio.

Dlaczego nie broniła się zębami i pazurami przed tym pomysłem kilka lat później? Przecież on musi sobie zdawać sprawę, że nie ma szansy, by to małżeństwo zaistniało naprawdę? Ale może wcale mu na tym nie zależy. Bo dla niego to zwykły środek prowadzący do celu. Transakcja, w której jej ciało stało się tylko kolejnym artykułem do kupienia. Czymś, czego będzie się można dyskretnie pozbyć, gdy spełni swoje zadanie. Kiedy urodzi jego dziecko.

Taki przyjęła punkt widzenia i, wbrew insynuacji Julii, nie oczekiwała, że Renzo będzie się zachowywał tak, jakby jej pragnął. A może to był tylko odruch warunkowy?

Zasnęła dopiero po kilku godzinach.

Budzik nie zadzwonił po raz pierwszy od lat, obudziła się więc późno. Daniella stała obok jej łóżka z kawą na tacy. Oczy jej błyszczały z ledwie skrywanej ciekawości i podekscytowania, gdy dokładnie oglądała młodą żonę pana Lorenza.

Sprawdza, jak przeżyłam tę noc, zdała sobie sprawę Marisa. Tak się kręciłam i przewracałam z boku na bok, że pościel jest wystarczająco pomięta, by można pomyśleć, że nie spałam sama. Mój Boże, gdyby ona wiedziała...

Daniella nie mówiła po angielsku, ale Marisie udało się ją przekonać, że sama sobie przygotowuje kąpiel i

wyberze ubranie. Odetchnęła z ulgą, gdy dziewczyna niechętnie wyszła, poinformowawszy ją tylko, że śniadanie zostanie podane na tarasie z tyłu domu.

Marisa podjęła kilka decyzji, zanim pozwoliła sobie zasnąć i ku swojemu zaskoczeniu nadal wydawały się jej słuszne.

Po pierwsze musi, naprawdę musi, przeprosić Renza bezzwłocznie i przedstawić mu jakieś wyjaśnienie swojego zachowania. Nie ma wyboru.

Ale to nie będzie łatwe, myślała, sącząc aromatyczną kawę. Jeśli mu po prostu powie, że zbyt się bała, by pozwolić mu na pocałunek, z pewnością zapyta czego... Przecież mu nie powie, że istotnie pokusa jego ust może się okazać nieodparta.

Nie, myślała z mocą. Nie i jeszcze raz nie. Nie odważy się na takie wyznanie. Niepotrzebny jej bolesny powrót do marzenia z czasów, gdy była nastolatką. Nie chce znowu snów i pragnień, które - jak sądziła - przegnała na zawsze. Nie zdecyduje się przeżywać tego ponownie. Nie po tamtej porażce.

O Boże, muszę być taka ostrożna. Muszę go przekonać, że to był tylko atak nerwów speszzonej panny młodej. Który minął...

Co prowadzi do kolejnej ogromnej przeszkody do przewyciężenia, czyli do konieczności wprowadzenia ich małżeństwa na normalne tory na tyle, na ile to możliwe, mając na względzie okoliczności.

Odstawiła pustą filiżankę, odrzuciła kołdrę i zaczęła się przygotowywać do stawienia czoła nowemu dniu.

Wybrała najprostszy strój, wyszczotkowała włosy, pomalowała delikatnie rzęsy i usta. Założyła sandały i wyszła z pokoju.

Była pewna, że zastanie go przy stole, ale zobaczyła na nim tylko jedno nakrycie.

Odwróciła się zaskoczona.

- *Signore* już jadł? - zapytała majordomusa.

- *Si, signora*, Bardzo wczesnie. I powiedział, żeby pani nie przeszkadzać. - Zamilkł, a jego twarz przybrała posepny wyraz. - Pojechał samochodem. Może zobaczyć lekarza w sprawie swojego wypadku.

- Wypadku? - powtórzyła Marisa niepewnie. Evangelina właśnie przyniosła dzbanek świeżo zaparzonej kawy i półmisek słodkich bułeczek.

- *Si, signora*. Wczoraj po ciemku wpadł na drzwi. - Jej pełne wyrzutu spojrzenie mówiło, że *signore* powinien bezpiecznie spoczywać w łóżku ze swoją młodą żoną, zamiast szwendać się po domu.

Marisa poczuła, że się czerwieni.

- Ach, to! - stwierdziła nonszalancko. - To chyba nic poważnego?

Zasznurowane usta i wzruszenie ramion kazało jej mieć w tej kwestii wątpliwości. Przyszło jej do głowy, że w tej sytuacji Renzo może nie być szczególnie skory do rozmowy z nią, a jej przeprosiny będzie musiała cechować niezwykła pokora, jeśli chce przełamać lody między nimi. Nie to planowała.

Spędziła na tarasie większą część poranka, czekając trwożnie na jego powrót. W końcu Massimo przyszedł, wyraźnie skonsternowany, by przekazać telefoniczną wiadomość od *signore*, że zje lunch poza domem.

Marisie udało się ukryć ulgę. Zaczęła przekonywać Massima, że jest zbyt gorąco na wystawny obiad, który Evangelina planuje, i że ona zadowoli się bulionem oraz warzywnym risotto.

Po posiłku, odpocząwszy nieco w swoim pokoju, poszła popływać w basenie. Potem się opalała, rozmyślając. Doszła do wniosku, że kolacja będzie najlepsza, by się upić i naprawić szkodę. Musi przetrwać tę fazę swojego życia. Przyszło jej do głowy, że Renzo z pewnością się domyśli dlaczego się upija, ale czy to go w ogóle obejdzie, jeśli dostanie to, co chce?

Zaczęło się jej troszkę nudzić, wyruszyła więc w poszukiwaniu czegoś do czytania. W salonie natknęła się na ilustrowane magazyny, ale wszystkie były po włosku. *Zio* Guillermo dał jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna popracować nad swoją znajomością tego języka. Powoli wracała na taras, zatrzymując się często w cieniu i oglądając widoki.

Kiedy dotarła na szczyt, stała jak wmurowana. Przy stole siedział Renzo, przed nim stał kieliszek wina, a on sam czytał gazetę. Podniósł wzrok, zobaczył ją i grzecznie wstał na jej widok.

- *Baonpomeriggio* - pozdrowił ją bez uśmiechu. Pozdrowiła go także, po czym powiedziała:

- Evangelina mówiła, że byłeś u lekarza. Martwiłam się.

- Że oślepnę? - zapytał drwiąco. - Ona przesadza, jak widzisz lekarz nie był potrzebny. - i zdjął ciemne okulary.

Z przerażeniem zobaczyła czarny siniak w kąciu oka. Wyglądało to gorzej, niż oczekiwała.

- Przepraszam cię, naprawdę. Uwierz mi, że nie chciałam tego zrobić. To był wypadek.

Wzruszył ramionami.

- No to niech Bóg mnie strzeże, jeśli kiedykolwiek będziesz chciała.

Marisa się zaczerwieniła.

- Nigdy nie będę chciała. Byłam... przestraszona, to wszystko. Te ostatnie tygodnie, ślub - nie było mi łatwo.

- A moja nierozsądna prośba o pocałunek na dobranoc to była ostatnia kropla goryczy? To chcesz powiedzieć?

Zagryzła wargi.

- No tak. Chyba. Chociaż zdaję sobie sprawę, że nic mnie nie tłumaczy.

- Przynajmniej w czymś się zgadzamy.

- Dziękuję ci też, że zważyłaś winę na drzwi.

- Tak się chyba na ogół robi - stwierdził. - *Inoltre* - ponadto czułem, że prawda nie dodaje nam obydwójgu chwały. - Skrzywił się - No i Evangelina byłaby zawiedziona. Jest taka romantyczna.

Unikała jego wzroku.

- No to już musieliśmy ją strasznie rozczarować.

- Bez wątplenia. Ale musimy się nauczyć z tym żyć.

I to przez jakiś czas, sądząc po ostatniej nocy.

Moment prawdy nadszedł. Wcześniej niż sądziła, ale to bez znaczenia. Teraz nie będzie już odwrotu, pomyślała, i wzięła głęboki oddech. Ale głos się jej załamywał mimo to.

- No - może nie.

Zapadła chwila ciszy, a potem Renzo odezwał się:

- Maria Lisa, czy to ma znaczyć, że chcesz, żebym się z tobą kochał?

Zdała sobie sprawę, że się jej uważnie przygląda, że jego oczy wędrują po jej na wpół nagim ciele.

Znowu pomyślała o czasach, gdy jego spojrzenie wprowadziłoby ją w radość i o swojej żalostnej próbie uwiedzenia go.

- Może zachowamy pozory dla pracowników,
Signore! Nie pragniesz mnie bardziej niż ja ciebie.

Julia powiedziała mi, że masz swoją Lucię Galio, tak więc obydwójce wiemy dokładnie, kim jesteśmy i czego się od nas oczekuje. Mamy też świadomość, że to nie ma nic wspólnego z kochaniem. Wzrok utkwiła gdzieś za nim.

- Wspomniałeś wczoraj, że chcesz, żebym się nie bała... być z tobą, ale tak się nie stanie. Nie może się stać. Ponieważ bez względu na to, jak długo będziesz czekał, ja nigdy nie będę na to gotowa tak, jakbyś tego pragnął.

Renzo trwał w milczeniu i bezruchu. Jakby przemawiała do posagu.

O Boże, pomyślała, to byłoby znacznie mniej skomplikowane przy kolacji. No ale skoro już zaczęła, nie ma wyboru.

- Kupiłeś mnie w konkretnym celu. - Głos jej zadrżał. - Masz więc prawo... Zdaję sobie sprawę i zaakceptowałam to, przyjmując twoje oświadczenia. Byłam ci także wdzięczna, że jesteś skłonny poczekać i że starasz się, by seks z tobą stał się dla mnie łatwiejszy. Ale to czekanie jest jeszcze gorsze. Czuję się, jakby wisiała mi nad głową czarna chmura, wyrok, który został wydany, ale nie wykonany. To już trwa zbyt długo. Dłużej nie potrafię. Wolę to mieć za sobą jak najszybciej.

Rzuciła na niego okiem i przez krótką chwilę odniosła wrażenie, że cała jego twarz jest posiniaczona, nie tylko oko. To pewno kwestia światła, pomyślała i ciągnęła dalej z trudem:

- Chcę więc ci powiedzieć, że możesz przyjść do mnie dziś wieczór. Zrobię, co tylko zechcesz, i obiecuję, że nie będę się opierać tym razem.

Nieruchomy Renzo nadal milczał, chociaż panująca

cisza nabrała dziwnego odcienia, którego nie rozumiała. Chciała koniecznie, by jakoś zareagował, dodała więc:

- Może nie wyraziłam się jasno...

- *Al contrario* - przeciwnie, nie mogłaś wyrazić się jaśniej, *signora*. - Jego głos był chłodny i bez wyrazu. - Gratuluję. Żałuję tylko, że moje próby troskliwego podejścia do ciebie okazały się tak nieskuteczne. Wybacz mi, proszę i uwierz, że nie zamierzałem cię stresować, odsuwając w czasie konsumpcję naszego małżeństwa. To jednak da się szybko naprawić. I nie musimy czekać do wieczora.

Podszedł do niej, wziął na ręce i skierował się do otwartych drzwi *salotto*.

- Renzo, co ty robisz? Puść mnie, słyszysz?

- Taki mam zamiar. - Zbliżył się do pustego kominka, położył ją na ogromnym futrzanym dywanie i ukląkł nad nią.

- Mówiłaś, że nie będziesz się opierać, Maria Lisa. Radzę ci, żebyś dotrzymała obietnicy.

Spojrzała na niego, na twardo zaciśnięte usta.

- O Boże, nie. - Głos się jej załamał. - Nie w ten sposób, proszę!

- Nie denerwuj się. Twoja gehenna będzie krótka - znacznie krótsza niż byłaby wieczorem. To ci obiecuję.

Ściągnął z niej majtki od kostiumu, rzucił je w ką, a potem zaczął rozpinać rozporek u spodenek.

Nie stosował siły. Nie próbował jej pocałować. A dłonie na jej biodrach były raczej zdecydowane, nie pieszczotliwe.

Próbowała znowu powiedzieć „nie”, ponieważ jej kobiecy instykt mówił, że to nie tak powinno się odbyć.

Oczekiwała bólu, a odczuła tylko niewielki

dyskomfort. Potem ogarnęło ją zdumiewające uczucie.

Miała wrażenie, że się unosi. A potem nagle wszystko się skończyło.

Po chwili podniósł się, doprowadził swój ubiór do porządku nieco drżącymi dłońmi i spojrział na nią oczami bez wyrazu.

- No więc, *signora* - odezwał się niemal uprzejmie. - Już nie musisz się niczego obawiać. Nasz odrażający obowiązek został wreszcie wypełniony. Sądzę, że nie było to dla ciebie zbyt uciążliwe. - Po chwili milczenia dodał sucho: - Miejmy nadzieję, że osiągnęliśmy cel i że nigdy więcej nie będziesz musiała znosić moich zalotów. A ja nie będę więcej słuchał takich obraźliwych słów.

Odszedł w stronę drzwi, nie rzucając na nią choćby jednego spojrzenia. Była wstrząśnięta, ale w jakiś dziwny sposób czuła się przez niego opuszczona. I dopiero wtedy, gdy było już za późno, wyszeptała jego imię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Marisa doskonale pamiętała, że bała się ruszyć. Wydawało się jej, że będzie jej łatwiej zostać tam, gdzie jest - drżąc z urazy, wstydu i bólu - niż wziąć się w garść, przywrócić przyzwoity wygląd i spróbować pogodzić się z tym, co się stało. W końcu do ubrania się zmusiła ją obawa, że ktoś ze służby ją znajdzie. Poszła do swojego pokoju. Tam rozebrała się do naga, a potem Stanęła pod prysznicem tak gorącym, że niemal trudnym do zniesienia.

Jak on mógł? - pytała samą siebie. - O Boże, jak on mógł potraktować mnie w taki sposób, jakbym nie miała żadnych uczuć, jakbym ledwo istniała dla niego?

Teraz znam już odpowiedź na to pytanie - stwierdziła, starając się znaleźć chłodne miejsce na poduszce. - Jeśli mam być szczerą, prawdopodobnie znałam ją już wtedy, ale nie potrafiłam się do tego przyznać.

Sama się o to prosiłam. Przebrałam miarękę, mówiąc mu prosto w oczy, że on się nie liczy, a seks z nim będzie zawsze tylko „obrzydliwym obowiązkiem”.

Ogarnął ją nagle niepokój, zrzuciła z siebie kołdrę,

wstała z łóżka i cichutko przeniosła się na fotel koło okna.

Przypomniała sobie, że po tamtym zdarzeniu nie wiedziała, jak stawi czoło wspólnej kolacji. Przyjęła jego chłodną propozycję drinka z równą grzecznością, zdając sobie sprawę, że on także nie ma ochoty na rozmowę. Potem siedziała naprzeciwko niego w milczeniu podczas niekończącego się posiłku.

Wkrótce miała się przekonać, że tak będzie co wieczór.

Jak się okazało, nie zamierzał spędzać z nią czasu również za dnia, kiedy dołączyła do niego na śniadaniu na jego wyraźny rozkaz.

- To jest bardzo piękna część świata, Mariso. Z pewnością będziesz chciała pozwiedzać - samo Amalfi, a także Ravello i Positano.

Czyżby proponował, że ją będzie woził? - zaniepokoiła się nagle. Już, już chciała zaprzeczyć, jakoby miała takie ambicje, ale zanim otworzyła usta, Renzo powiedział:

- W związku z tym zorganizowałem dla ciebie samochód. Kierowca ma na imię Paolo. Jest kuzynem Evangeliny i można mu całkowicie ufać. Codziennie będzie cię zawoził, dokąd zechcesz.

- Aha. - Powinna odczuwać ulgę, a miała dziwną pustkę w głowie. - To... bardzo miłe z twojej strony.

Wzruszył ramionami.

- Nic takiego.

W to akurat potrafię uwierzyć, pomyślała. Próbuje sobie poradzić z niezręczną i nieprzyjemną sytuacją - po prostu pozbywając się źródła irytacji. W końcu raz już to zrobił nie tak dawno, z Alanem.

Renzo także umilkł. A potem podjął wątek nieco

wolniej:

- Zamówiłem także książki dla ciebie z list bestsellerów w Anglii i Stanach. Pamiętam, że lubiłaś kryminały, ale może gust ci się zmienił?

- Nie - odparła. - Jestem ci bardzo wdzięczna. - I dodała sztywno: - *Grazie*.

- *Pręgo*. - Uśmiechnął się leciutko. - W końcu, *mia bella*, nie chcę, żebyś się nudziła.

Przez kilka następnych dni z przyjemnością odgrywała turystkę, choćby dlatego, by oddalić się od zimnej i wyniosłej uprzejmości męża. Ku jej niekończącemu się zażenowaniu nie przestawał jej traktować z całkiem zdumiewającą wielkodusznością w wyniku czego miała więcej pieniędzy niż kiedykolwiek marzyła, nie licząc kart kredytowych wyraźnie pozbawionych limitu. Często zastanawiała się, jak to jest móc wydawać bez ograniczenia, a okazało się, że niewiele ma ochotę kupić.

Dokonała jednak ważnego zakupu. W Positano nabyła trzy *maillots* - kostiumy kąpielowe: jeden czarny, drugi oliwkowy, a trzeci ciemnoczerwony. Zamierzała je nosić podczas samotnych popołudniowych sesji pływackich i zrezygnować z bikini. Nie chciała na niego więcej patrzeć, a co dopiero nosić!

W Amalii weszła do sklepu sprzedającego ręcznie czerpany papier, z którego ten region słynie, i kupiła kilka arkusików, by wysłać do Anglii do Julii i Harry'ego. Nadała także pocztówkę do swojej kuzynki z kilkoma rozmyślnie neutralnymi uwagami na temat pogody i krajobrazu.

Zachwyciło ją Ravello z wąskimi, średniowiecznymi uliczkami.

W końcu miała dość zwiedzania. Usiadła w jednej z kawiarni na rynku w Amalii i obserwowała kłębiący się tłum. Rodziny z dziećmi. Pary zaglądające sobie w oczy, trzymające się za ręce, przytulające się. Jej nikt nigdy tak nie witał. Nawet Alan.

I wtedy stanął jej przed oczyma Renzo: ledwie tydzień wcześniej stał przed ołtarzem, jakby skamieniał, z wyrazem niemal zachwytu na twarzy, gdy ona szła ku niemu.

Co mnie, na Boga, natchnęło, by o tym myśleć?, zastanawiała się, kończąc kawę. Gwar rozmów i śmiechy wokół niej sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej samotna.

Następnego ranka oznajmiła Evangelinie, że przez jakiś czas nie będzie potrzebowała samochodu.

- Ach! - w głosie gospodyni zabrzmiało coś na kształt nadziei. - Bez wątpienia dołączysz pani do *signora* na basenie?

- Nie - odparła Marisa. - Mam zamiar przejść się po miasteczku.

- To bardzo małe miasteczko - zatroskała się Evangelina. - Niewiele tam jest do oglądania, *signora*.

Lepiej zostać tutaj i odpocząć. Koło basenu panuje wielki spokój.

- Popływam później, jak zwykle. Po spacerze.

I wyszła, nie zważając na rozczarowanie malujące się na twarzy Evangeliny.

Piętnaście minut później przeszła przez szeroką bramę Villi Santa Caterina i skierowała się w stronę wzgórz.

Wkrótce przekonała się, że ocena Evangeliny była całkiem słuszna. Małego miasteczka nie nawiedzały

tłumy turystów, wzdłuż uliczek stały domki z zamkniętymi przed słońcem okiennicami, a wśród nich kilka sklepików z artykułami codziennego użytku oraz kawiarnia z dwoma stolikami pod markizą.

Może w drodze powrotnej zatrzyma się tam i napije czegoś zimnego. Usiądzie w cieniu i poczyta książkę. Cokolwiek, by odwlec moment powrotu do Villa Santa Caterina.

Zdała sobie sprawę, że w przerwie między domkami połyskuje morze. Już widok z willi jest spektakularny, pomyślała, ale tutaj to będzie czysta magia. W torebce miała szkicownik i ołówki, które kupiła poprzedniego dnia w Amalii.

Nagle zauważyła, że kobieta mieszkająca w domu, któremu właśnie się przygląda, wyszła i ją obserwuje.

- *Perdono* - przeprosiła, rumieniąc się. - Patrzyłam na morze, *U bel mare*.

Natychmiast na twarzy kobiety pojawił się promienny uśmiech.

- *Si, si*. - Podeszła do Marisy, wzięła ją za ramię, po czym pchnęła w górę uliczką, paplając niezwykle szybko, co uniemożliwiało zrozumienie czegokolwiek poza słowami *una vista fantástica* - fantastyczny widok.

Przy końcu ulicy wznosił się wysoki mur. Samozwańcza przewodniczka Marisy wskazała go palcem

- Casa Adriana - oznajmiła. - *Che bella villa*.

- Ucałowała czubki swoich palców, popychając Marisę naprzód i dodała z głębokim westchnieniem: - *Che tragedia* - jaka tragedia!

Fantastyczny widok, rozumiem - rozmyślała Marisa, idąc posłusznie przed siebie - ale co ma do tego tragedia?

Rzuciła okiem przez ramię i zobaczyła, że jej nowa

znajoma nadal się jej przygląda, pomachała więc jej i podążyła we wskazanym przez nią kierunku.

Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że biały tynk na murze odpada płatami, a cała budowla w niektórych miejscach się sypie.

W końcu zbliżyła się do wąskiej, żelaznej szeroko otwartej furtki.

Zarośnięta chwastami ścieżka wiła się wśród gęstwiny. Na jej końcu migotało coś błękitnego, co zapowiadało obiecany widok.

W powietrzu unosił się zapach jaśminu i róż, które wspinały się wszędzie, pokrywając wszystko różowymi, białymi i żółtymi kwiatami. Marisa nie miała dużego doświadczenia ogrodniczego, ale w podróżach do Toskanii nauczyła się rozróżniać oleandry, astry, pelargonie i margerytki, a wszystko to wybujałe bez żadnej kontroli.

W połowie drogi ścieżka nagle skręcała w prawo i Marisa zobaczyła to, co zostało z niegdyś ślicznego domostwa. Ściany jeszcze stały, ale nawet z oddali widać było, że brakuje wielu dachówek, a okiennice wiszą na zniszczonych zawiasach w oknach z potłuczonymi szybami.

Widać jednak było, że ktoś próbuje wprowadzić tu nieco ładu. W niektórych miejscach trawa została ścięta, a zbyt wybujałe gałęzie przycięte i ułożone w stosy, prawdopodobnie do spalania.

Widok istotnie zapierał dech w piersiach. Marisa napawała się samotnością, gdy nagle usłyszała ciche kasznięcie.

Zobaczyła niewysoką kobietę w okularach bez oprawki. Spod lnianego kapelusza widać było pasmo siwych włosów.

Odezwała się tym swoim niepoprawnym włoskim:

- Proszę mi wybaczyć. Nie uprzedzono mnie, że ktoś tu mieszka. Już sobie idę.

- Angielka! - usłyszała melodyjny głos. - Jak miło. Obawiam się, że obydwie jesteście intruzami, moja droga. Ja także przyszedłam tu pewnego dnia, by popatrzeć na widok, ale zobaczyłam, że potencjalnie piękna przestrzeń popada w ruinę i nie mogłam się oprzeć pokusie. Nikt nigdy nie protestował - dodała. - Może dlatego, że uważają te moje próby za szaleństwo.

Uśmiechała się łagodnie.

- Proszę nie uciekać. Przepraszam, że panią przestraszyłam. Pani widok też był dla mnie szokiem. Przez moment myślałam, że Adriana wróciła.

Wyciągnęła rękę do Marisy.

- Jestem Dorothy Morton.

- Marisa Brendon.

- Jakie ładne imię. Włoskie, prawda?

- Po mojej nieżyjącej chrzestnej.

- My z mężem mieliśmy szczęście, że mogliśmy się przenieść tutaj na emeryturze. Nasze mieszkanie ma tylko balkon i brakuje mi pracy w ogródku, przychodzę więc tutaj.

- A dlaczego ogród jest tak zaniedbany? Czy tę Adrianę nic nie obchodzi?

- Obchodziłoby z pewnością, gdyby żyła. Ale zmarła blisko pięćdziesiąt lat temu. Domyślałam się, że nie wiadomo, kto jest spadkobiercą tej posiadłości.

- Nie miała dziedzica?

- Tuż po ślubie spisali testamenty. Jedno zostawiało wszystko drugiemu. A kiedy pierwszy odszedł mąż, żona nie chciała zmienić swojej ostatniej woli.

Wzruszyła ramionami.

- Krewni upominali się o tę własność przez wiele lat, ale dzisiaj też już pewno nie żyją, a status tej nieruchomości nadal nie został rozstrzygnięty.

- Ach, więc to jest ta tragedia. Ale dlaczego Adriana nie chciała zmienić zapisu?

- To całkiem proste - odparła pani Morton. - Nigdy nie uwierzyła w śmierć swojego męża.

Marisa zmarszczyła brwi.

- Przecież musiał być akt zgonu?

- W normalnych warunkach tak. Niestety nie znaleziono żadnego rzeczywistego dowodu jego śmierci. Filippo Barzoni płynął z Ischii - był doświadczonym żeglarzem i pokonywał tę trasę wiele razy - kiedy nagle pojawił się szkwał. Ani jego ani łodzi nigdy więcej nie widziano. Morze wyrzuciło jakiś wrak w Sorrento, ale wtedy było wiele ofiar. Jednak tylko wdowa po nim wierzyła, że Filippo mógł przeżyć. Bardzo się kochali i Adriana zawsze twierdziła, że wiedziałyby, gdyby jej mąż nie żył. Czują go wciąż koło siebie i wierzyła, że pewnego dnia wróci.

- I co się stało w końcu?

- Zlekceważyła przeziębienie, wdało się zapalenia płuc, zabrano ją do szpitala wbrew jej woli, a tam zmarła kilka dni później. Podobno ostanie jej słowa brzmiały: „Powiedźcie mu, że czekałam” - zakończyła z pozorną obojętnością.

Marisa odezwała się z namysłem:

- Mówiła pani, że kiedy mnie pani zobaczyła, przyszło pani do głowy, że to Adriana wróciła. Czy tak myślą ludzie?

Oczy pani Morton za szklami zabłyśły.

- Nikt nie mówi tego głośno, Proboszcz tępi zabobony. Ale byłam zaskoczona, gdy panią tu zobaczyłam. Zawsze mi się wydawało, że to najlepiej strzeżona tajemnica miasteczka.

- A przecież mi o tym powiedzieli? - zapytała Marisa na wpół samą siebie.

- Może wyglądała pani na kogoś, kto potrzebuje miejsca do rozmyślań w słońcu. Ale to, moja droga, to już tylko pani sprawa.

Do willi wróciła późnym popołudniem, gotowa na przesłuchanie w sprawie swojej nieobecności, zwłaszcza przez Evangelinę, bo nie zjadła obiadu. Nikt jednak nic nie powiedział.

Nie było też pytań nazajutrz, gdy oznajmiła, że znowu idzie na spacer, ani też potem, kiedy wdrapywała się na wzgórze i spędzała spokojne godziny na ławce Adriany. Czytała, szkicowała i starała się nadać sens temu, co się jej przytrafiło, i zrozumieć, dokąd to ją może zaprowadzić.

Wiedziała, że pani Morton jest gdzieś w ogrodzie i czasami rozmawiała, kiedy starsza kobieta robiła sobie przerwę, odrzuciwszy uprzednio ofertę pomocy ze strony Marisy.

Rozprawiały o sprawach codziennych, chociaż dziewczyna zdawała sobie sprawę, że czasami pani Morton przygląda się jej zdziwiona, jakby się zastanawiała, dlaczego tyle czasu spędza w samotności.

A potem, w ostatnim tygodniu miesiąca miodowego, obudziła się z bólem brzucha i zdała sobie sprawę, że dziecka nie będzie. Powinna o tym powiedzieć Renzowi.

Wzięła kilka proszków przeciwbólowych i spędziła większą część ranka w łóżku, informując Evangelinę, że boli ją głowa, prawdopodobnie od nadmiaru słońca.

- Czy może pani powiedzieć *signore* - dodała, mając nadzieję, że Renzo się domyśli prawdy i zostanie jej oszczędzone zażenowanie osobistej z nim rozmowy. Ale gospodyni wyglądała na zdziwioną.

- Nie ma go, *signorina*. Pojechał w interesach do Neapolu i wróci dopiero na kolację. Nie poinformował pani o tym?

- Musiałam zapomnieć. - Marisa starała się mówić lekkim tonem.

W pewnym sensie jego nieobecność była ulgą, ale wiedziała, że to tylko chwilowe odroczenie i że w końcu będzie mu musiała wyznać niemiłą prawdę.

Interesy w Neapolu musiały zająć Renzowi więcej czasu, bo po raz pierwszy Marisa pojawiła się na kolacji przed nim. A kiedy przyszedł, był zamyślony.

Zmuszała się do jedzenia, nie próbując zakłócić panującej między nimi ciszy. Ale kiedy gospodyni przyniosła kawę, a on chciał wyjść pod pretekstem telefonu do wykonania, wiedziała, że nie może dłużej zwlekać.

- To nie może poczekać kilku minut? Mam ci coś do powiedzenia.

- Cóż za nieoczekiwany zaszczyt! - Głos miał zimny, ale zatrzymał się.

- Niestety nie mam dobrych wiadomości. Dziś rano okazało się, że jednak nie jestem w ciąży. - I dodała sztywno. - Przykro mi.

- Czyżby? - zapytał obojętnie. - No cóż, to zrozumiałe.

Chciała mu powiedzieć, że nie to miała na myśli. Że przez te tygodnie oczekiwania, ku jej własnemu zdumieniu, to dziecko stało się dla niej bardzo rzeczywiste - i w jakiś dziwny sposób cenne. I że zdała sobie z tego sprawę

dzisiaj, gdy się okazało, że ono nigdy nie istniało. I że odczuła nowy rodzaj bólu.

Odezwała się z trudnością:

- Musisz być bardzo rozczarowany. Uśmiechnął się blado.

- Sądzę, że jestem już poza tym, Mariso. Może porozmawiamy o tym - i innych sprawach - rano. A teraz cię przepraszam.

Kiedy wyszedł, zapatrzyła się w płomyk świecy, sącząc kawę. Potem odepchnęła filiżankę tak gwałtownie, że odrobina wylała się na biały obrus.

Położyła się do łóżka i przykryła szczelnie kołdrą, jakby noc była zimna. Ból dawno minął, pozostało uczucie pustki.

Nagle cała stłumiona uraza i samotność przytłoczyły ją i zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A następnego dnia odkryła, że jej miesiąc miodowy nagle dobiegł końca.

Konfrontacja z Renzem miała miejsce w *salotto*, pokoju, którego starała się unikać od tamtej chwili, i gdzie udało się jej nigdy nie zostać z nim sam na sam.

Od razu przeszedł do rzeczy:

- Jestem przekonany, Mariso, że musimy ponownie rozważyć sprawę naszego małżeństwa. Sugeruję więc, byśmy opuścili Villa Santa Caterina, albo dzisiaj po południu, albo jutro, jako że nie ma żadnego powodu, byśmy tu tkwili. Zgadzasz się?

Potaknęła.

Znowu zaczął mówić, tym razem twardszym głosem:

- Proponuję także, żebyśmy spędzili jakiś czas z dala od siebie, by przemyśleć naszą przyszłość jako żony i męża. Dłużej nie może być tak jak teraz. Musimy podjąć pewne decyzje i dojść do porozumienia. - Umilkł na chwilę. - Jestem skłonny zamieszkać w Rzymie, a tobie zostawię dom w Toskanii.

- Nie! - Zobaczyła, że gwałtowność jej reakcji zaszokowała go. - To znaczy, dziękuję. Ale w tych okolicznościach to całkiem niemożliwe. Twój ojciec będzie chciał widzieć nas razem. Dlatego wolałabym wrócić do Londynu. O ile to możliwe.

- Do Londynu? - powtórzył zdumiony.- Chcesz wrócić do swojej kuzynki?

- Ona się wkrótce przeprowadza do Kentu, tak więc to nie wchodzi w rachubę. Chcę mieć jakieś miejsce tylko dla siebie. - Podkreśliła z emfazą.

- I dla nikogo więcej.

Renzo się zamyślił, potem zapytał ostrożnie:

- Myślisz, że to rozsądne?

- Czemu nie? - Marisa uniosła podbródek.

- Przecież nie jestem już dzieckiem. Poza tym, skoro ty masz mieszkanie w Rzymie, dlaczego ja nie mogę go mieć w Londynie? - dodała wyzywająco.

Znowu zapadła cisza, a potem Renzo powiedział cicho:

- Świetnie. Niech będzie tak, jak ty chcesz. Zaskoczona łatwością swojego zwycięstwa zmusiła się do uśmiechu.

- *Grazie*.

- *Pręgo*. - Nie oddał jej uśmiechu. - A teraz przepraszam cię, trzeba to wszystko zorganizować.

I już go nie było.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Rezygnując z kieliszka szampana w samolocie lecącym do Londynu, zastanawiała się, czego nie zrobiłby Renzo, by pozbyć się dziewczyny, która się nie sprawdziła jako żona. I zrobiło się jej trochę przykro.

Miał to być przecież początek końca ich

małżeństwa, a jego prawnicy wkrótce mieli dostać bardziej osobiste polecenia w jej sprawie. I będzie wolna - po raz pierwszy będzie mogła żyć dla siebie samej jako Marisa Brendon. Niezależna od nikogo.

Żałowała tylko, że nie miała czasu wpaść do Casa Adriana i pożegnać się z panią Morton. Ale może tak jest lepiej.

Kiedy już się urządziła w Londynie, nie spodziewała się żadnych wieści od Renza, tak więc jego telefony i listy ją zaskoczyły. Mówiła sobie, że to czysta uprzejmość z jego strony, której ona wcale nie potrzebuje i może zlekceważyć.

A teraz pojawił się tu osobiście bez żadnego ostrzeżenia. Zagniewana, zdała sobie sprawę, że nigdy nie zamierzał jej zostawić w spokoju.

Jej „wolna przestrzeń” znikła, a ona nie może nic na to poradzić. Nadszedł rzeczywisty czas spłacenia długu. Czy to ma być to porozumienie, o którym mówił w Casa Santa Caterina?

Nie ma co rozpamiętywać przeszłości, pomyślała. Przecież zaangażowała się w to małżeństwo świadomie, wiedząc, że on jej nie kocha, i czego dokładnie od niej oczekuje.

Z ciężkim westchnieniem wstała z fotela i poszła się położyć. Przyszło jej do głowy, że to może być jedna z ostatnich nocy spędzonych w samotności.

Obudziła się jak zawsze, zanim zadzwonił budzik. Tyle że tym razem to przebudzenie było jakieś inne.

Z walącym sercem ostrożnie odwróciła głowę i spojrzała na miejsce obok siebie. Renzo leżał na boku i spał. Oddychał głęboko i równo. Zrzucił z siebie kołdrę i widać było nagie plecy.

Zacząła się delikatnie od niego odsuwać, ale było za późno.

- *Buon giorno.*

- A niech cię szlag! - Odzyskała głos. - Co ty tu robisz?

- Spojrzał na nią zdziwiony.

- Odpoczywam, *mia cara.*

- Ale obiecałeś, że będziesz spać na sofie.

- Niestety sofa miała inny pomysł. Doszedłem do wniosku, że za bardzo cenię sobie swój kręgosłup, żeby z nią dalej walczyć. Jako dobra żona nie odmówisz mi odrobiny wygody, prawda, *carissima?*

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej ramię w miejscu, gdzie ramięczko odcisnęło swój ślad. Znowu przeszedł ją prąd, który pamiętała z nocy poślubnej.

- Nie, Renzo, proszę cię.

- Ale ja muszę, *mia bella.* Nie sądzisz, że czekałem dość długo? Powinienem ci powiedzieć, co i jak lubię.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- To całkiem proste - ciągnął łagodny, przykuwający uwagę głos. - Musi być bardzo gorąca, bardzo czarna i bardzo mocna. Bez cukru. Nawet ty potrafisz taką zrobić, jak sądzę.

W jednej chwili Marisa usiadła wyprostowana jak strzała.

- Kawa? Chcesz, żebym ci zrobiła kawy? Jeszcze czego, *signore!* Nie jestem twoją niewolnicą, wiesz, gdzie jest kuchnia, to zrób ją sobie sam.

Renzo opadł na poduszki, obserwując ją spod rzęs.

- Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem, *carissima.* Ale jest jeszcze wcześniej, więc może dam sobie spokój z kawą i namówię cię na łagodną gimnastykę. Tak byś

wolała? A może kuchnia nagle stała się bardziej atrakcyjna?

- Drań - rzuciła mu przez ramię, gramoląc się z łóżka. Ściągał ją jego śmiech.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na gazie. Ze złośliwym zadowoleniem stwierdziła, że nie ma już mielonej kawy. Będzie musiał wypić rozpuszczalną.

Wzięła kubek i zaniósła go do sypialni. Ale łóżko było puste. Renzo golił się w łazience.

- Widzę, że nie tracisz czasu - postawiła kubek obok niego.

- Chciałbym móc to samo powiedzieć o tobie, *mia cara* - powiedział oschle. - Myślałem, że pójdziesz po prawdziwą kawę. - Wziął łyk napoju i się skrzywił.

- Przykro mi, jeśli to nie odpowiada twoim standardom.

- No cóż. Jest gorąca. Dzięki i za to. *Grazie, carissima*.

Zanim się zorientowała, objął ją ramieniem i pocałował. A potem równie nagle ją puścił. Zachwiała się i zaczerwieniła pod jego ironicznym spojrzeniem.

- Ha! - odezwał się. - Robimy postępy. Nie dzieliliśmy, co prawda, łoża, ale w końcu cię pocałowałem. Warto na ciebie czekać, Maria Lisa - i wyszedł z łazienki.

Marisa wzięła prysznic, ubrała się. Kiedy weszła do pokoju, Renza tam nie było. Czyżby postanowił sam wrócić do Włoch? Skąd! Jego torba podróżna stała tam, gdzie ją zostawił.

Usłyszała, że klucz w zamku się obraca. Wszedł Renzo objuczony plastikowymi torbami.

- Poszedłeś na zakupy? - zapytała zdumiona.

- Oczywiście. Twoja lodówka była niemal pusta,

mia bella. Zjemy śniadanie?

Miała ochotę odmówić wyniośle, ale poczuła kuszący zapach świeżego chleba i zdała sobie sprawę, że jest strasznie głodna.

Jedli przy barku w kuchni i mimo wszystko okazało się, że był to najmiłszy posiłek, jaki Marisa zjadła w jego towarzystwie.

Renzo dolał sobie kawy i zerknął na zegarek.

- Na nas już czas. Musisz się jeszcze spakować.

- To nie potrwa długo. Mam niewiele ubrań.

- Jak to? Pamiętam tę ogromną liczbę walizek, którą przywiozłaś do Włoch.

- Oddałam wszystko. Myślałam, że takie stroje nigdy więcej nie będą mi potrzebne.

- Świetnie - powiedział Renzo, ale jego głos brzmiał groźnie. - Chodźmy więc do twojej pracy, musisz złożyć wymówienie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Drogie dziecko! - Guillermo Santangeli ucałował Marisę w oba policzki, po czym zrobił krok w tył i przyjrzał się jej z czułością.

- Pięknie wyglądasz, chociaż jesteś trochę za szczupłą. Mam nadzieję, że się nie odchudzasz?

- Nie, nie - odparła Marisa zażenowana nieukrywaną tkliwością jego powitania. Tak jakby ostatnie bolesne miesiące nigdy się nie zdarzyły.

- Ale Renzo mówił mi, co tobie się stało i to mnie zmartwiło.

Jej teść wzruszył ramionami.

- Drobna niedogodność. Ale to mi przypomniało o moim wieku, a tego nie lubię.

Objął ją ramieniem i wprowadził do *salotto*. Renzo szedł za nimi z twarzą bez wyrazu.

- Teraz, kiedy ty tu jesteś, wyzdrowieję całkowicie, *mia figlia*.

- Pamiętasz *signorę* Alesconi, mam nadzieję? - dodał, gdy wysoka, piękna kobieta podniosła się z fotela.

- Raczej chyba nie, Guillermo. - Uścisk dłoni starszej pani był równie ciepły, jak jej uśmiech.

- Byłam co prawda na pani ślubie, *signora* Santangeli, ale nie sądzę, by pani zapamiętała mnie wśród tylu innych osób. Uznajmy to za nasze prawdziwe pierwsze spotkanie. - Odwróciła się, a wyraz jej twarzy stał się bardziej oficjalny. - Miło pana widzieć, *signore* Lorenzo - dodała, a on się uklonił.

- A ja, cieszę się, że mam okazję podziękować pani za uratowanie życia mojemu ojcu. Zawsze będę pani za to wdzięczny, proszę mi wierzyć. - Uśmiechnął się. - I że także się cieszę z pani obecności tutaj.

- No to jesteśmy w rodzinie - ojciec uważnie studiował swoje paznokcie. - *Nonna* Teresa przyjechała dziś po południu. W tej chwili odpoczywa w swoim pokoju, zobaczymy ją na kolacji.

Zapadła cisza, a potem Renzo odezwał się pozbawionym wyrazu tonem.

- Co za radość. Nie spodziewałem się jej.

- Ja też nie - stwierdził Guillermo. Ojciec i syn wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Serce Marisy zadrżało. Z całej rodziny Santangelich babka Teresa żywiła dla niej najmniej życzliwości. Określiła plan ich małżeństwa jako „nieznośną czułościowość” i „niebezpieczną bzdurę”. I chociaż ona się z tym całkowicie zgadzała, przykro jej było słuchać opinii, że się nie nadaje, do tego wyrażonej z takim jadem.

Nigdy, myślał Renzo, nie byłem tak zdenerwowany. Nawet w dzień ślubu. Niczym nastolatek, który się zakochał po raz pierwszy. Tyle że nie jestem chłopaczkiem, ale mężem, który pragnie, by wszystko było doskonałe podczas rzeczywistej nocy poślubnej. Obawiał się jednak, czy nie jest za późno, by błędy z przeszłości zostały zapomniane.

Albo wybaczone.

Zwłaszcza ten pierwszy nieszczęsny raz, którego wspomnienie nadal go zawstydzają.

Czy to ma znaczyć, że chcesz, żebym się z tobą kochał?

Przypomniał sobie nadzieję ukrytą w tym pytaniu.

Powiedz „tak”, błagał w duszy.

Zamiast tego, oszołomiony gniewem i rozczarowaniem, zraniony jej obojętnością, po prostu wziął ją bez cienia łagodności i szacunku, z którym obiecywał sobie przeprowadzić jej wtajemniczenie.

Chciał tym krótkim egoistycznym aktem zaspokoić bolesne pragnienie, które prześladowało go od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją jako dorosłą kobietę w domu jej kuzynki. Pragnienie, które rosło przez te tygodnie narzuconej sobie wstrzeźliwości po zaręczynach.

Wiedział, że po tym, co się stało, powinien pójść do niej wieczorem i powiedzieć jej, że od chwili gdy przyjęła jego oświadczenia w jego życiu nie było nikogo innego, że Lucia Galio to przeszłość, przekonać ją, że jedyne, czego pragnie, to dać jej rozkosz.

Jeden maleńki znak przy kolacji, że ona także żałuje. Tylko tyle potrzebował. Ale miał do czynienia wyłącznie z nerwową grzecznością, która go zmroziła.

Mimo to ogolił się ponownie tamtego wieczoru i poszedł pod jej drzwi. Już miał zapukać, gdy dobiegł go rozpaczliwy szloch. Wszystkie uczucia, które skłoniły go do przyścia zniknęły. Pozostała pustka.

No bo przecież nie płacze nad dzieckiem, które nigdy nie istniało i którego nie chciała. Nie - zdała sobie sprawę, że będzie musiała mu się oddać ponownie, stąd taki żal i odraza. To nie może być nic innego.

A teraz po raz pierwszy w życiu nie wie, co robić.

Marisa przez chwilę po przebudzeniu czuła się całkiem zdezorientowana. A potem przypomniała sobie, gdzie jest i - co ważniejsze - dlaczego.

Znowu jest zdenerwowaną panną młodą sprzed roku, rozglądającą się po swoim przyszłym miejscu zamieszkania, które ma dzielić z mężczyzną.

Zauważyła, że okiennice zostały zamknięte, zasłony zasłonięte, a lampy na stolikach nocnych zapalone. Wszystko to zostało przez kogoś zrobione, gdy ona spała. Chciała sięgnąć po zegarek, by sprawdzić jak długo, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się Renzo.

- Lepiej się czujesz?

- Taki dziękuję.

Ze zdziwieniem zauważyła, że głowa przestała ją boleć.

- Cieszę się. Mój ojciec zaprasza cię na kolację. Chciał zrobić z tego wielką uroczystość na twoją cześć, ale przekonałem go, żeby poprzestał na mniej oficjalnym posiłku. Tobie to z pewnością odpowiada?

- Oczywiście. Tym bardziej że nie mam żadnego wieczorowego stroju, jak wiesz.

- Dlatego proponowałem ci, żebyśmy się zatrzymali w Rzymie. Żebyś zrobiła zakupy. I oszczędzilibyśmy sobie komitet powitalny. Za który przepraszam.

Marisa zagryzła wargę.

- Już ci nie przeszkadza signora Alesconi? - zapytała cicho.

- Ottavia? - w jego głosie brzmiało zdziwienie.

- Skąd! Jakie mam prawo żałować ojcu szczęścia? -

I dodał sucho. - Chodziło mi o kogoś innego.

- Och! O twoją babkę. - Zawahała się. - Mając na

względnie to, jak mnie nie lubi, dziwię się, że chciała przyjechać. Wyraźnie myślała, że nie zasługuję na to, by być twoją żoną. Pewno nadal tak uważa. Ja zresztą też.

- Ale ja tego poglądu nigdy nie podzielałem. - Zawahał się na chwilę. - To jedna z tych rzeczy, które chciałem ci powiedzieć. Nie zaczęliśmy naszego małżeństwa dobrze, Mariso, ale to można łatwo zmienić - przy odrobinie... dobrej woli.

- Ale jak? Nadal jesteśmy tymi samymi ludźmi wpakowanymi w tę sytuację przez swoje rodziny - stwierdziła z goryczą.

- Mnie nikt w nic nie pakował - powiedział Renzo spokojnie. - To prawda, że nasze kochające nas matki wierzyły, że będziemy szczęśliwi razem, ale to by nic nie znaczyło, gdybym chciał poszukać kogoś innego. Ale nie chciałem. Zdaję sobie jednak sprawę, że dla ciebie wybór był trudniejszy. Ze istniała presja. Ale jeśli naprawdę uważałaś nasze małżeństwo za tak odrażające, powinnaś mi to powiedzieć.

Marisa oburzyła się:

- Jak mogłam dokonać wyboru, skoro zostałam kupiona? I kiedy zdrowie męża mojej kuzynki zależało od tego, czy zrobię dokładnie to, co mi każą? To był rozstrzygający argument. Harry to taki dobry i przyzwoity człowiek. Nie mogłam go zawieść. Musiałam zgodzić się, że zostanę przekazana - w nietkniętym stanie - wielkiemu Lorenzowi. Komuś, kto nawet na mnie nie rzucił okiem, dopóki mu nie przypomniano o jego dynastycznych obowiązkach i kto nagle zażądał uległej dziewczyny.

Zapadło milczenie, a potem Renzo odezwał się:

- Co za przemowa, *mia bella*. Dziwne tylko, że potrafisz mówić szczerze tylko to, czego nie chcę słyszeć.

Ale przynajmniej teraz rozumiem, że twoja uraza sięga znacznie dalej niż miniony rok.

Wstał i przeszedł na jej stronę łóżka.

- Miałaś ledwie piętnaście lat, kiedy postanowiłaś przetestować moją samokontrolę wtedy na pływalni, prawda? I chociaż nie pretenduję do podobnej świętości jak ten twój Harry, to jednak czasami potrafię wykrzesać z siebie przyzwoitość - taką jak niewykorzystanie nieostrożnej dziewczyny, prawie dziecka. Jeśli byłem dla ciebie ostry, to dlatego, że nie chciałem, żebyś zrobiła podobną propozycję innemu mężczyźnie. Nie myśl, Maria Lisa, że mnie nie kusiło. I gdybym uległ tej pokusie, nie skończyłoby się na patrzaniu, uwierz mi.

Usiadł na skraju łóżka, a kiedy chciała się od niego odsunąć, unieruchomił ją jedną ręką.

- I co byś zrobiła, *carissima* - pytał, patrząc jej prosto w oczy - gdybyś się znalazła naga w wodzie ze mną? I gdybym cię wziął w ramiona...

- Co się nie zdarzyło - burknęła, zdając sobie sprawę, że drży. - Ta rozmowa nie ma sensu. A teraz mnie puść.

- Zaraz. - Miał czelność uśmiechnąć się do niej. - Odnoszę wrażenie, że moja odmowa z tamtego dnia nadal cię napawa goryczą. Czas to naprawić. Nareszcie jesteśmy razem i mamy mnóstwo czasu dla siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patrzyła prosto w jego ciemną twarz nad sobą, niezdolna myśleć. Pocałował ją tak, jak jeszcze nigdy dotąd, a wtedy zrozumiała, dlaczego tak się broniła przed jego dotykiem w noc poślubną i potem, gdy mogła uciec od niego do Anglii, wmawiając sobie, że to koniec. Przestała go odpychać i powolutku zaczęła oddawać jego pocałunki. Kiedy podniósł głowę, obydwójgu brakowało tchu.

- Drzysz, *mia bella* - powiedział łagodnym tonem. - Nadal cię tak przerażam?

Potrząsnęła przecząco głową bez słowa. Nie przerażasz, jesteś obietnicą niewyobrażalnej rozkoszy, pomyślała.

Nie było im jednak dane cieszyć się sobą. Nagle Marisa poczuła, że Renzo odsuwa się od niej. Dobiegł ją jakiś kobiecy głos.

- Kto to?

Renzo krzyknął ostro po włosku:

- Chwileczkę! - Po czym zwrócił się do Marisy. - To Rosalia, twoja pokojówka. Przyszła przygotować ci kąpiel i pomóc się przebrać. Rozkaz mojego ojca.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Co mam więc zrobić, *carissima*? Wpuścić ją, czy kazać sobie iść, a sam cię wykąpię i ubiorę... potem?

Ale czar przysł. Marisa splonęła rumieńcem zażenowania, gdy dotarł do niej sens jego słów. I dlatego, że zdała sobie sprawę, jak bliska była całkowitego oddania nie tylko ciała, ale i duszy.

Zaczęła zapinać stanik.

- Ach! Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie” - i pomógł jej go zapiąć, po czym cmoknął ją w kark. Ta leciutka pieśczoła rozpałiła jej zmysły od nowa.

- Jeszcze porozmawiamy, *carissima* - stwierdził. - Są rzeczy, które muszą zostać powiedziane, o których musisz wiedzieć, zanim staniemy się prawdziwym małżeństwem.

Wstał i skierował się do drzwi swojego pokoju, a ona gorączkowo starała się doprowadzić łóżko do porządku.

- Daj spokój, ślepy by się domyślił. - Renzo patrzył ironicznie na jej wysiłki, po czym zawołał:

- *Avanti*, Rosalia! - i zniknął, zamykając drzwi za sobą.

Marisa wykąpała się, ubrała i uczesała z pomocą Rosalii. Renzo przyszedł po nią i nawet nie zauważył nowej fryzury. Był zamyślony i miał posępną minę. Ale co się stało? Chyba nie gniewa się, że nie odesłała Rosalii wcześniej. Przecież wie, że jej kapitulacja odsunie się tylko w czasie, nic więcej.

A może on też boi się dzisiejszej kolacji? Jej przecucie, że sytuacja będzie trudna, zmieniło się w pewność, gdy napotkała wrogie spojrzenie Teresy Barzanti. Nieprzeniknione czarne oczy omiotły ją od stóp do głów, a usta wykrzywił grymas dezaprobaty.

- Tak więc postanowiłaś wrócić, Mariso - tak brzmiało powitanie, któremu towarzyszyło ciche prychnięcie. - Pewno powinniśmy się cieszyć, że wreszcie sobie przypomniłaś o swoich obowiązkach. Mam nadzieję, że więcej o nich nie zapomnisz.

Zapadła cisza pełna zażenowania. Marisa zaczerwieniła się z oburzenia, ale Renzo wziął ją za rękę.

- Babcia zapomniiała dodać, że jest bardzo szczęśliwa, że cię ponownie widzi - powiedział spokojnie. - Prawda, *Nonna*?

Przez moment nic się nie działo, a potem *signora* Barzanti szarpnęła głową, co można było uznać za potaknięcie.

Guillermo nadszedł w tym momencie, zaproponował Marisie *aperitivo* i oznajmił, że ślicznie wygląda. Była mu za to wdzięczna, ale mimo jego wysiłków atmosfera przy stole nie przypominała święta.

Po kolacji mieli przejść do *salotto* na kawę, ale Guillermo, który wyglądał na zmęczonego, przeprosił:

- Wybacz mi, moje dziecko. - Pocałował Marisę w czoło. - Porozmawiamy jutro. - Odwrócił się do Renza. - Mogę cię prosić na słówko? Obiecuję, że nie zabiorę cię od żony na długo.

- Mój drogi Guillermo - wycodziła *signora* Barzanti kwaśnym tonem. - Chyba żartujesz. Po zdarzeniach z zeszłego roku to chyba nie jest żaden problem.

- *Basta!* - Spojrzał na teściową wyniośle.

- Wydaje mi się, że postanowiliśmy zapomnieć o przeszłości i patrzeć tylko w przyszłość. Bardzo cię proszę, moja droga mamo, żebyś o tym pamiętała.

Wzruszyła ramionami i poszła do salonu pierwsza, zajmując to samo miejsce co przedtem, a za nią Marisa i

signora Alesconi.

Wniesiono kawę, po czym trzy kobiety zostały same.

Marisie jakimś cudem udało się nalać kawę do filiżanek, nie roniąc ani jednej kropli. Ottavia Alesconi od razu zaczęła mówić o książce, którą właśnie czyta, o nadchodzącym sezonie operowym w Weronie i nowym dizajnerze, który szturmem wdarł się do mediolańskiego świata mody.

- Może powinniśmy go zatrudnić dla Marisy - zasugerowała zimno *Nonna* Teresa. - Wyraźnie potrzebuje rady. Ktoś jej musi wyjaśnić, że żony Santangelich nie ubierają się jak pensjonarki.

Ottavia Alesconi zagryzła wargi.

- Myślę, że *signora* Santangeli wygląda uroczo.

- Uroczo? - Stara kobieta roześmiała się skrzekliwie.

- Potrzebne jej będzie coś więcej niż urok, by utrzymać zainteresowanie Lorenza na tyle, by ją zapłodnił.

- *Signora* Barzanti! - zaprotestowała zaszokowana Ottavia, rzuciwszy okiem na zaczerwienioną twarz Marisy.

- To nie jest temat do publicznej rozmowy.

- Bo takie sprawy omawia się tylko w rodzinie? Przecież my nie mamy przed panią tajemnic, droga pani Alesconi. Skoro mój zięć oddał pani miejsce należne mojej córce. I chociaż nie aprobuję takiej sytuacji - dodała słodkim tonem - pani przynajmniej jest wdową, a nie mężatką, jak aktualna kochanka Lorenza.

Marisie nagle zabrakło tchu i pociemniało w oczach.

- Bez wątplenia uroda Dorii Venucci, nie mówiąc o jej innych zaletach, przekonały mojego wnuka, że warto zaryzykować romans. Nic dziwnego, Mariso, że nie spieszył się ściągnąć cię z Londynu. Tylko konieczność

spłodzenia dziedzica sprawiła, że jesteś tu z nami, o czym z pewnością wiesz.

- Tak, wiem. - Marisa nie rozpoznała własnego głosu.

- To niewybaczalne. - Głos Ottavii był lodowaty. - Tyle jadu wobec niewinnej dziewczyny!

- Jadu? - powtórzyła *Nonna* Teresa. - Nie zrozumiała mnie pani. Chciałabym tylko, żeby sobie nie robiła złudzeń. Żeby zdała sobie sprawę, że kiedy przestanie być dla Lorenza nowością, szybko poszuka innej rozrywki. Jeśli będzie na to gotowa, mniej będzie bolało.

- To pani nic nie rozumie.

Jakoś udało się Marisie wstać i stanąć na wprost swojej przeciwniczki z wysoko podniesioną głową.

- Mówi pani tak, jakbyśmy się z Renzem kochali. Ale tak nie jest, wszyscy to wiedzą. Sama pani stwierdziła, że ożenił się ze mną tylko po to, by mieć dziedzica. Takie rozwiązanie odpowiada nam obydwójgu. Tak więc nie mam żadnych złudzeń. Nie oczekuję też wierności. To, że Renzo ma inną kobietę, nic mnie nie obchodzi. Dlaczego miałoby, skoro go nie kocham? A kiedy będzie miał już tego swojego syna, może sobie przebierać w kochankach, byle mnie zostawił w spokoju!

Odwróciła się do drzwi i zobaczyła, że on tam stoi, milczący, nieruchomy, z kamienną twarzą. W oczach miał niedowierzanie.

Nie miała pojęcia, jak długo tam jest ani ile słyszał. Ale z pewnością dość dużo.

Poczuła się, jakby wbito jej nóż, tak to bolało. Mogłaby rzucić mu się do stóp i błagać, by ją zapewnił, że nie ma nikogo, że liczy się tylko ona. Ale przecież nie może go wprawiać w zażenowanie - siebie zresztą też nie.

Nie wolno jej zdradzić, jak cierpi.

Tak więc spokojnym, równym tonem poprosiła:

- Może przedstawiś swojej babci, *signore*, szczegóły naszej umowy i zapewnisz ją, że jej uprzejma rada, chociaż dana ze szczerego serca, jest całkiem zbędna.

I dodała spokojnie.

- Wybacz, że pójdę do siebie. Mam za sobą długi i męczący dzień. Byłabym więc wdzięczna, gdyby nikt mi nie przeszkadzał. Jestem pewna, że to zrozumiesz.

I przeszła obok niego, oczy bez jednej łzy utkwiała w przestrzeń. Z powrotem do pustego pokoju i łóżka, które czeka na nią na górze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marisa nie miała pojęcia, że ból potrafi być tak intensywny, a pustka tak ogromna. Wymówiła się zmęczeniem, ale wiedziała, że nie może się położyć do łóżka, w którym tak niedawno leżała w ramionach Renza, czekając na rozkosz.

Teraz rozumiała tę dziwną atmosferę, którą wyczuwała w tym domu. Wszyscy obawiali się, że Teresa Barzanti przyjechała tylko po to, żeby stwarzać problemy.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że ciepła, pomocna *zia* - ciotka Maria mogła narodzić się z takiej nienawiści i goryczy. Rozpamiętywała każde złe słowo, które usłyszała na swój temat z ust tej starej kobiety, zastanawiała się nad swoim postępowaniem od dnia ślubu i doszła do wniosku, że będzie musiała ponieść konsekwencje własnego szaleństwa. Musi być silna i nie okazywać żadnej słabości.

Musi zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami, jakby nic się tego wieczoru nie zdarzyło, jakby babka jej męża udzieliła jej uprzejmej, choć błędnej rady. Tak, jutro rano będzie się zachowywać tak, jakby zatrute rewelacje

babki nie miały znaczenia.

Postanowiła się położyć. I wtedy zdała sobie sprawę, że nie jest sama. W drzwiach stał Renzo.

- A więc - odezwał się wreszcie - jednak nie śpisz.

- Ale zamierzam zasnąć za dwie minuty. Miał na sobie biały szlafrok, jeden z tych, które wisały w łazience, i z pewnością nic pod nim. Zaszło jej w ustach.

- Prosiłam przecież żeby mi nie przeszkadzać. Idź już stąd.

- Nie wybieram się donikąd. Zawsze chciałem z tobą dzielić łóżce, spędzić z tobą tę noc poślubną, której nigdy nie mieliśmy. I nie stało się nic, co kazało by mi zmienić ten zamiar.

- Nic? - zapytała Marisa ochryplym głosem. - Dobry Boże, czy nie powiedziałam wyraźnie, że nie chcę cię widzieć?

- Jak zwykle wyraziłaś się niezwykle jasno. Nawet mojej babce odjęło mowę. A to nie zdarza się często - dodał. - Ucieszy cię na pewno wiadomość, że ona wyjeżdża jutro rano, i nie będzie zachęcana do kolejnych wizyt.

- Dlaczego? Bo mówi prawdę? A może teraz zaprzeczysz, że miałeś romans?

- Dlaczego miałbym to robić? - Uniósł brwi w zdziwieniu.

- Może z poczucia przyzwoitości, o którym kiedyś wspomniałeś?

- Aleja chcę, żeby nasze małżeństwo od początku opierało się na uczciwości, Maria Lisa, a nie na konwencjonalnym kłamstwie. Mimo moich wysiłków uparłaś się przedłużać swoją nieobecność u mojego boku. Czy naprawdę spodziewałaś się, że będę żył jak eunuch dopóki ty nie postanowisz wrócić albo nie zostaniesz do

tego zmuszona?

- Ty naprawdę nie masz poczucia wstydu!

- Myślę, że to przeceniana cnota. - Wzruszył ramionami. - Chociaż przyznaję, że bardzo żałuję swojej głupoty. Zamiast szukać pocieszenia w czyichś ramionach, bo ty wygnałaś mnie ze swojego życia, powinienem zadziałać skuteczniej. Muszę się nauczyć panować nad swoim temperamentem. - Ciągnął bezbarwnym głosem. - Szkoda też, że nie zrobiłem tego, co planowałem dziś wieczór i nie wspomniałem ci o tym romansie, zanim ktokolwiek inny miał szansę to zrobić.

- Planowałeś mi o tym powiedzieć? - zapytała oszołomiona Marisa.

- *Si*. Kiedy przyszedłem tu przed kolacją. Ale coś odwróciło moją uwagę, jak pamiętasz. Miałem nadzieję, że zdążę później. Niestety moja babka lubi przekazywać złe wieści jako pierwsza, nie miałem więc szansy nic ci wyjaśnić. W tym *signora* Barzanti przypomina twoją kuzynkę Julię. Żadne z nas nie ma szczęścia do krewnych, *carissima*.

Umilkł na chwilę.

- Poza tym moja babka nie ma najświeższych wiadomości. Romans z Dorią Venucci jest już skończony. Masz na to moje słowo.

- Bo chciałeś oszczędzić moje uczucia, czy bałeś się skandalu?

- Och, skandal. Oczywiście - jego głos brzmiał kąśliwie. - Nie wiedziałem, że nasze małżeństwo budzi w tobie jakiegokolwiek inne uczucia poza odrazą. Spotkałem panią Venucci - to wyjaśniało w teorii nasze przedłużone rozstanie. Nie myśl, że było mi miło słuchać tych spekulacji.

- Och, jak mi cię żal - wypaliła. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki wrażliwy.

- Nie - Jego głos brzmiał ostro. - W to wierzę. - Zastanowił się na moment. - Powiedz mi jedno, *mia cara, per favore*. Nigdy nie odbierałaś telefonów ode mnie. A przeczytałaś choć jeden z moich listów?

Nie może mu powiedzieć, że darła koperty, nie otwierając ich, ale nie może też skłamać, bo zacznie pytać o ich zawartość i wyjdzie na idiotkę.

- Nie - wyznała w końcu.

- *Che peccato* - co za szkoda! - wykrzyknął.

- Mogły się okazać... pouczające dla ciebie.

- A może już dość wiedziałam na twój temat, *signore*.

- Ale, jak odkryłaś w tym pokoju kilka godzin wcześniej, zdobywanie wiedzy dopiero się zaczęło - oznajmił aksamitnym głosem i zaczął rozwiązywać szlafrok.

- Nie - wychrypiała. - Myślisz, że jak powiesz, że skończyłeś romans, to już wszystko jest w porządku? *Signora* Venucci nie była pierwsza i nie będzie ostatnia. Sądzisz, że wiedząc to, dopuszczę cię do siebie znowu?

Poczuła, że materac obok niej się ugina i cała zeszywniała.

- No cóż. - Renzo mówił bardzo łagodnym tonem. - Tak myślę, bo obiecałaś i to w obecności świadków. Uzgodniliśmy to ledwie dziś rano. I dlatego, że mnie nie kochasz, Maria Lisa. I nic cię nie obchodzi, że są inne kobiety w moim życiu, a tutaj jesteś tylko po to, by urodzić moje dziecko. - Umilkł na chwilę. - To są twoje słowa, pamiętasz?

Marisie odebrało mowę. Nagle uzmysłowiła sobie,

że tak musi się czuć zaszczute zwierzę, kiedy wpada w pułapkę.

Ale mi zależy. O Boże, i to jak bardzo! Sama myśl o tobie z inną kobietą rozdziera mi serce. Tyle że nigdy ci tego nie powiem. Muszę dalej udawać.

Renzo wyszeptał:

- Nigdy nie powiedziałaś, *carissima*, że mnie nie pragniesz. Może dlatego, że wiesz, że to nieprawda, czego dowiodłaś wcześniej w tym właśnie pokoju. A może zapomniałaś, jaka byłaś słodka i ustępliwa?

Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Tak Więc przynajmniej dziś nie słuchaj swego rozumu, ale ciała.

- Musisz mnie tak upokarzać? Przypominając mi, od jak dawna cię kocham, jak bardzo chciałam do ciebie należeć, nawet wtedy, gdy mogłam sobie tylko wyobrazić, co to oznacza?

Przyciągnął ją ku sobie i namiętnie pocałował. A ona nie mogła dłużej udawać, że jego pieszczoty nie robią na niej wrażenia. Wcale zresztą nie chciała....

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Teraz było zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Marisa zastanawiała się tylko, dlaczego użył prezerwatywy, skoro starają się o dziecko. Szczytowali razem. Potem leżeli bez ruchu, ciasno objęci, starając się złapać oddech.

Marisa myślała sennie: Nie jestem tym samym człowiekiem, już nie, zostałam przemieniona.

Spojrzała czule na ciemną głowę wtuloną w jej pierś i zapragnęła, by to trwało wiecznie. Chciała głaskać go po włosach, całować jego powieki i usta, wykrzyknąć to wszystko, co jej serce od dawna przed nim ukrywało.

Nie miała jednak śmiałości.

Powoli wracała do rzeczywistości. Nic się przecież nie zmieniło. Zwłaszcza jej sytuacja. Bo seks, nawet najwspanialszy, nie robi żadnej różnicy. Nie wolno jej uwierzyć, że jest przeciwnie.

Dlatego nie próbowała go zatrzymać, gdy uwolnił się z jej ramion i poszedł do łazienki. Leżała nieruchomo i patrzyła w przestrzeń.

Pytała siebie, ile takich nocy może znieść, zanim mu powie, że go kocha. A może on stanie się dla niej tak ważny, że gdy nadejdzie ku temu czas, nie będzie chciała

go opuścić? Czas, gdy porzuci wszelką nadzieję na przyszłość, a zamiast niej zostanie w tym domu, posłuszna, uległa żona wypełniająca obowiązki? Nigdy niekwestionująca jego nieobecności, starannie ignorująca plotki, które z pewnością będą do niej docierać, gdy on zbłądzi zbyt otwarcie. I wdzięczna za każdą noc, którą zechce z nią spędzić dla rozrywki.

Czy warto narażać się na takie cierpienie? - pytała samą siebie. Nie. Nie mogę. Nie chcę.

Uporządkowała łóżko, przykryła się starannie, zanim Renzo, ziewając, wrócił do pokoju. Uniósł brwi w zdziwieniu na widok tego, co zrobiła, ale tego nie skomentował. Wśliznął się obok niej i ją objął.

- Może pośpimy, *carissima*"? - zaproponował. - A potem zobaczymy, co noc przyniesie.

- Nie - powiedziała, biorąc głęboki oddech.

- Wolę nie.

- Nie chce ci się spać? - zagwizdał cicho. - Ale masz odporność, *mia cara* Chciałbym tak umieć, niestety jestem tylko mężczyzną i potrzebuję czasu, by odzyskać siły.

- Miałam na myśli, że wolałabym zostać sama. Na ułamek sekundy zapadła cisza, a potem Renzo stwierdził spokojnie:

- Ale wspólne spanie i budzenie się to część małżeństwa, Maria Lisa.

- Może dla innych ludzi. Nie dla nas.

- Co ty mówisz? Czy uraziłem cię czymkolwiek?

- Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego użyłeś... tej rzeczy, kiedy miałeś mnie zapłodnić.

- Ach! - Renzo pogłaskał ją po policzku. - Rozumiem. Ale mamy mnóstwo czasu, *cara mia*. Może najpierw powinniśmy się nauczyć, jak być mężem i żoną,

zanim zostaniemy rodzicami.

- O ile pamiętam, nasza umowa brzmiała inaczej. Chyba zapomniałeś, że jestem tu w jednym, jedynym celu, a niejako twoją zabawką. Do tego ci służy ktoś inny - dodała bezbarwnym głosem.

- *Dio mio*, znowu to! Mówiłem ci, że to już skończone.

- Signorę Venucci może odsunąłeś od siebie, ale jestem pewna, że cała masa innych czeka, by zająć jej miejsce. Mnie wśród nich nie ma. Pragnę odzyskać swoją niezależność i nie pozwolę się z niej okradać ani dnia dłużej niż to absolutnie konieczne, żebyś mógł mnie używać w zastępstwie kochanki.

Nie mogę uwierzyć, że to robię. Kłamię mu, mówię takie okropne rzeczy, podczas gdy każde słowo jest jak nóż wbijający się w moje ciało!

- Jak to możliwe? Nie ma mnie przez kilka minut, a kiedy wracam, znajduję obcą dziewczynę. - Potrząsnął głową w gorzkim niedowierzaniu. - *Santa Madonna*, jak mogę być w niebie w jednej chwili, a w piekle w następnej?

- Bo zapomniałeś, po co się ze mną ożeniłeś - starała się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Dlaczego mnie zmusiłeś, bym tu wróciła. Ale ja nie zapomniałam. I dopóki nie przypomnisz sobie warunków naszej umowy i nie zaczniesz ich wypełniać, powinieneś chyba spędzać noce w swoim pokoju.

- Mam lepszy pomysł - zaproponował lodowato. - Dostarcz mi listę swoich dni płodnych, bym mógł ograniczyć wizyty do tych okazji. Oszczędzimy sobie czasu i zachodu.

Zrzucił kołdrę i włożył szlafrok. Zawijając pasek

odezwał się jeszcze:

- Oskarżyłaś mnie o oszustwo, Maria Lisa. Ale to ty jesteś oszustką, ponieważ rozmyślnie odmawiasz sobie ciepła i namiętności. Odwracasz się plecami do cudownego życia, które mogliśmy wieść razem.

- Przeżyję.

Naprawdę? Potrafię? Już teraz czuję się, jakbym się rozpadała na kawałeczki. Jakbym nigdy znowu nie miała być cała bez ciebie...

- Ja też. Jak mówisz, na świecie jest pełno kobiet. Może znajdę jakąś, która nie będzie się tak targować. Która nawet zechce być ze mną dla mnie samego. Ale pewno proszę o niemożliwe - usta wykrzywił mu grymas goryczy.

Odwrócił się i poszedł do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

O mały włos byłaby za nim pobiegła, żeby mu powiedzieć, że wszystko, co powiedziała, to nieprawda. By błagać, żeby do niej wrócił. By ją przytulił i zapewnił jej bezpieczeństwo. I żeby na zawsze pozostał u jej boku.

Tylko że o tym nie może być mowy.

Ale będzie jego dziecko. Tak więc zyska coś w zamian. Bo nie ma innego wyboru, myślała, wtulając twarz w poduszkę w poszukiwaniu jego zapachu.

Najpierw starała się spędzać część każdego dnia ze swoim teściem, ale w końcu wrócił do pracy.

- Mam nadzieję, że się nie przepracowuje - zauważyła Marisa pewnego wieczoru podczas kolacji, którą jadła tylko z Ottavią Alesconi.

- Dobrze, że ma coś do roboty, Lorenzo jest tak często nieobecny.

- Tak, oczywiście - wymamrotała zażenowana Marisa i czym prędzej zmieniła temat. Jej męża bowiem

nigdy nie było. Widziała go ledwie kilka razy od owej wieczornej kłótni.

Kiedy następnego ranka zeszła na dół, po nieprzespanej nocy, zobaczyła, że już pojechał na spotkanie w Sienie.

- Mogłaś z nim pojechać, drogie dziecko, ale on prosił, żeby cię nie budzić - dodał Guillermo.

Uśmiechał się, błędnie interpretując zarówno troskę syna jak i ciemnie kręgi pod jego oczami.

A kiedy Renzo i Marisa spotkali się przy kolacji, zaczęła się zastanawiać, czy to, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru, zanim się pokłócili, nie było snem.

Później oczekiwała w napięciu w swojej sypialni, aż zobaczyła światło pod drzwiami między ich pokojami. Podeszła do nich i zapukała.

Otworzyły się natychmiast i stanął w nich Renzo w na wpół rozpiętej koszuli z wyrazem nieufności na twarzy.

- *Si?* - Jego ostry ton nie zniechęcił jej, ani to, że zdawał się nie zauważać jej ubioru - miała na sobie znowu tylko nocną koszulkę.

Podawała mu złożoną kartkę.

- Spisałam te informacje, o które prosiłeś - odezwała się sztywno.

Wziął ją, rzucił obojętnym okiem na kilka widniejących na niej dat, grzecznie podziękował i włożył papier do kieszeni spodni.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, *cara mia*, postaram się tak samo postępować. Niestety nie będę mógł się stawić na naszym pierwszym spotkaniu, ponieważ muszę jechać do Bostonu w interesach. - Zimny uśmiech nie rozświetlił mu oczu.

- Chyba że chcesz, *mia sposa*, pojechać ze mną, by

nie stracić okazji.

- Raczej nie. - Spojrzała w dół. Sprawy nie toczyły się tak, jak oczekiwała. - Emilio ciągle jeszcze oprowadza mnie po domu, wyjaśniając mi moje nowe obowiązki. Poza tym naprawdę muszę kupić nowe ubrania, zanim wybiorę się w jakąkolwiek podróż. Ottavia obiecała pojechać ze mną do Florencji w tym celu.

- No to będę liczyć godziny do następnej okazji - głos Renza ociekał wprost słodyczą. - Muszę powiedzieć sekretarce, żeby zaznaczyła to w moim rozkładzie zajęć.

- Och, nie, proszę!

- To chyba ja powinienem powiedzieć - stwierdził, wzruszając ramionami. - Ale co tam. To bez znaczenia. *Buona notte*. Śpij dobrze.

Cofnął się i zamknął drzwi między nimi.

Marisa próbowała czytać. Boże, jak mi go brakuje - myślała. Koniec końców to właśnie w tym domu zaczęła się w nim zakochiwać, wtedy gdy jeszcze była zbyt młoda, żeby wiedzieć, co to oznacza.

Za dnia jakoś sobie radziła, ucząc się, jak być panią Villi Proseprina, ale nocą jej wyobraźnia torturowała ją myślą, że Renzo zrozumiał jej słowa *a la lettre* i że teraz dzieli łożę z jakąś inną kobietą.

Pewnego dnia, po deszczu usłyszała najeżdżający samochód. To mógł być tylko Renzo. Popędziła do łazienki, zdzierając z siebie ubranie. Wzięła prysznic i włożyła nową, koronkową bieliznę, a na nią śliczną, jasnozieloną sukienkę. Na nogi wsunęła zgrabne pantofelki na obcasiku. Wyszczotkowała włosy, pomalowała rzęsy i usta.

I wtedy zdała sobie sprawę, że nie słyszy, by Renzo wchodził po schodach. .

Z trudem opanowując ekscytację, zeszła na dół. Napotkała Emilia z walizką i teczką w rękach.

- Wydawało mi się, że słyszę auto. Ktoś przyjechał?

- *Si* - Emilio uśmiechnął się od ucha do ucha i wskazał drzwi do *salotto*.

Jakież było jej rozczarowanie, gdy zobaczyła, że jest tam tylko Ottavia Alesconi.

- Ottavia! Jak miło. Nie wiedziałam, że przyjedzie pani na weekend - powitała gościa.

- Zdecydowałam się w ostatniej chwili. Guillermo mnie zaprosił; nie potrafiłam mu odmówić.

- Przyjrzała się uważnie Marisie. - Czy pani dobrze się czuje? Jest pani trochę blada.

- Wszystko w porządku. - Marisa usiadła i wygładziła nerwowo spódnice. - Myślałam, że to samochód Renza.

Signora Arleconi odłożyła magazyn, który przeglądała.

- Renzo? Nie sędzę, by go oczekiwano. - Umilkła na chwilę. - Ale może pani ma inne wiadomości.

Zapadło milczenie, a potem Marisa powiedziała spokojnie:

- Nie, nie mam żadnych wiadomości. Znowu milczenie, tym razem dłuższe, a w końcu Ottavia zaczęła mówić:

- Mariso, pani nie ma matki, a ja córki. I może nie powinnam nic mówić, ale nie potrafię nie reagować, gdy widzę, jaka pani tutaj jest nieszczęśliwa. - Zawahała się. - To żaden sekret, że pani małżeństwo natknęło się na problemy od samego początku. Ale kiedy pani wróciła, mieliśmy wszyscy nadzieję, że będzie wam dobrze razem.

- Nie wszyscy. - Marisa zacisnęła pięści.

- Och, to jest stara jędza - syknęła Ottavia. - Nie musimy w ogóle na nią zważać. Martwię się słowami, które pani jej wykrzyczała i tym, że Lorenzo je słyszał. Widziałam go następnego dnia na śniadaniu. Był blady. A kiedy wyjechał na drugi dzień, był sam. - Patrzyła na dziewczynę przez chwilę. - Jak zresztą cały czas, od kiedy się z panią ożenił. Nie liczę głupiego romansu z tą Venucci.

- Uspokajająco uniosła dłoń, widząc, że Marisa sztywnieje. - Nie akceptuję go, proszę mi wierzyć. Ale kiedy mężczyzna jest zraniony i samotny, czasami szuka pociechy w nieodpowiednim miejscu. A pani tu nie było, żeby zaprotestować - dodała suchym tonem.

Marisa schyliła głowę.

- Nie - zgodziła się niechętnie. - Ponieważ to nigdy nie było prawdziwe małżeństwo. Renzo nigdy nie chciał żony, a już na pewno nie mnie.

- Może na początku - przyznała z namysłem Ottavia. - Ale po zaręczynach to się zmieniło. Z Londynu wrócił cichy i zamyślony. Obmyślał ceremonie ślubną i wasz wspólny dom. Chciał, żeby wszystko było doskonałe dla pani. Był zdenerwowany. Nigdy dotąd go takiego nie widziałam. - Uśmiechnęła się nagle. - Polubiłam go wtedy. I pomyślałam, że bardzo chce się z panią ożenić.

- Bo potrzebuje kogoś, kto da mu syna i nie będzie żądał od niego ani czasu, ani uwagi - oznajmiła Marisa. - Ja pasowałam do tego obrazu.

- Czy dlatego jest pani tak zdeterminowana, żeby go nie kochać? - zapytała Ottavia. - Dlaczego pani pokazuje światu, że on nic dla pani nie znaczy, pozostawiając go samego przez całe miesiące? Dlaczego mówi mu to pani głośno prosto w twarz, traktując go nieuprzejmie i bez szacunku? Nic dziwnego, że go tu nie ma.

Marisa mówiła z trudem.

- A może jest inny powód. Coś, do czego go praktycznie popchnęłam. Pani Ottavio, czy on kogoś ma?

- Nie wiem - odparła starsza kobieta. - A nawet gdybym wiedziała, nic bym pani nie powiedziała. Dodam tylko, że gdybym była dziewczyną zakochaną w mężczyźnie tak atrakcyjnym jak Lorenzo, nie popełniłabym tego błędu, by po raz drugi wypchnąć go ze swojego łóżka. Postarałabym się, żebym to ja spała u jego boku.

- Bo wiedziałyby pani, że nie można mu ufać? - Te słowa Marisę bolały.

- Nie. Ponieważ nie umiałabym znieść jego nieobecności. No, ale jeśli nie potrafi pani wybaczyć mu błędów z przeszłości, nie mam nic więcej do powiedzenia.

Marisa odezwała się cicho:

- A jeśli on nie chce, żebym mu wybaczyła. Jeśli ma dosyć?

Ottavia wzruszyła ramionami.

- To, *cara*, jest ryzyko, które musi pani podjąć. Ale na pani miejscu walczyłabym do upadłego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nieco później Marisa wróciła do *salotto* i nastawiła płytę z gitarowym koncertem. Oparła się o poduszki na kanapie, przymknęła oczy i rozmyślała nad swoją sytuacją. Muzyka działała kojąco i po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się zrelaksowana. Zasnęła.

Obudziła się z bijącym sercem na dźwięk zamykanych drzwi.

Rosalia - pomyślała. Pewnie chciała zapytać, co *signora* włoży na kolację, jak zwykle. Ale jest na to jeszcze za wcześnie. I wtedy przypomniała sobie delikatny zapach, który ją dobiegł w półśnie. Renzo!

To może oznaczać jedno - on tu jest. I był blisko niej.

- O Boże! - Gramoliła się z kanapy, próbując doprowadzić włosy i pogniecioną sukienkę do porządku.

Potem pobiegała na bosaka do swojej sypialni. Drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju były uchylone. Ktoś się w nim poruszał.

Marisa jej otworzyła. Renzo wkładał całe naręczce koszul do skórzanej walizki. Zawołała go po imieniu. Odwrócił się natychmiast.

- Marisa! - Ton jego głosu był tak grzeczny, że aż

nijaki. - Obudziłem cię. Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. Tylko się zdrzemnęłam w słońcu. Myślałam, że cię dzisiaj tu nie będzie.

- Nie zamierzałem, ale okazało się, że muszę jechać do Sztokholmu, a potem do Brukseli i potrzebuję kilku dodatkowych rzeczy na podróż. Ale nie martw się - dodał chłodno. - Kiedy tylko się spakuję, jadę do Rzymu.

- Dziś wieczór?

- Nie, za pół godziny - poprawił ją szorstko.

- Ale nie było cię w domu... całkiem długo.

- I to jest jakiś problem? - Skrzywił się. - Myślałem, że to dla ciebie ulga.

- Ale nie dla twojego ojca.

- On rozumie sytuację.

- To może mi ją wyjaśnisz. Myślałam, że będę cię widywać, choćby czasami.

- Ach! W te dni, które mi spisałaś na kartce? - Wzruszył ramionami. - Niestety mam dużo spotkań i zajęć w pracy, *mia cara*. - I zajął się znowu pakowaniem.

Marisa czuła, jak zaciska się jej gardło i znowu ogarnia ją drżenie.

- A gdybym cię poprosiła, żebyś został?

- Daj mi jeden powód, dla którego miałbym to zrobić.

Przyjrzała mu się. Czuła napięcie, które się między nimi wytworzyło. On jest zraniony, pomyślała. I samotny. I nagle jej umysł stał się klarowny, jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Powiedziała po prostu:

- Ponieważ cię pragnę.

Spodziewała się, że do niej podejdzie i weźmie ją w ramiona, ale został tam, gdzie był, wkładając ostatnią

koszulę bardzo ostrożnie do walizki. A kiedy wreszcie się odezwał, głos miał chropawy:

- Udowodnij mi to.

Na moment zmartwiła, czuła, że wszystkie jej kompleksy i niepewność zaraz ją pokonają. Ale kolejny raz doszła do wniosku, że nie ma wyboru. Że to może być jej ostatnia szansa.

Bez pośpiechu zaczęła odpinać pierwszy guzik sukienki, patrząc mu prosto w oczy. Kiedy odpięła je wszystkie, zsunęła ją z ramion, odpięła stanik i pozwoliła mu opaść na podłogę, a potem zdjęła koronkowe majtki i stała spokojnie, znosząc jego spojrzenie.

Następnie zajęła się rozpinaniem guzików jego koszuli. Pod palcami czuła nieregularne bicie jego serca. Zaczęła go pokrywać szybkimi pocałunkami, dalej go rozbierając. Wtedy poczuła, że ją obejmuje.

Potem leżeli przytuleni do siebie, całując się powoli.

- Czy dowód był przekonujący? - zapytała Marisa.

- Powiedzmy, że na początek tak. Możesz się okazać bardziej przekonująca w Sztokholmie - dodał. - A zanim dotrzemy do Brukseli, może zacznę wierzyć, że naprawdę mam żonę.

Szeroko otworzyła oczy.

- Zabierasz mnie ze sobą?

- Nie mam zamiaru zostawiać cię więcej, *carissima*.

Już nie. Rosalia może cię spakować, a my tymczasem zjemy kolację.

- Myślałam, że chcesz wyjechać natychmiast.

- Zmieniłem zdanie - stwierdził. - Spodziewam się, że będę zbyt zmęczony dziś wieczór, by prowadzić. Z twoją pomocą, *signora*.

- Postaram się, *signore* - wyszeptała Marisa i

pocałowała go z uśmiechem.

Ale później, gdy Renzo zasnął lekkim snem, obudziły się w niej dawne demony. Jak długo on będzie jej pragnął? Dopóki nie uzasadni swojej obecności w jego życiu, kiedy już nie będzie musiał odgrywać namiętnego męża?

- Moja droga *signora* Santangeli - powiedział doktor Fabiano. - Jestem pewny, że martwi się pani zupełnie niepotrzebnie. - Odłożył pióro i uśmiechnął się do niej. - Przecież jest pani mężatką dopiero nieco ponad rok, o ile się nie mylę.

- No tak - przyznała Marisa. - Ale teraz to już mogłoby się stać.

Zwłaszcza że ostatnie trzy miesiące spędzili z Renzem na namiętym i niepohamowanym kochaniu się bez żadnych zabezpieczeń.

- Obydwoje bardzo pragniemy dziecka - dodała.

- Czasami natura lubi działać w swoim własnym rytmie. Może pani mąż nie chce się jeszcze panią dzielić? Czy on podziela pani niepokój?

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym. Prawdę mówiąc, chociaż fizycznie bardzo się zgrali, w ich małżeństwie były jeszcze tematy tabu. Zdawała sobie jednak sprawę, że Renzo przygląda się jej czasami, jakby na coś czekał. Lekarz zamyślił się na chwilę.

- Istnieją testy, których na ogół nie polecam po pierwszym roku małżeństwa, ale jeśli to miałyby panią uspokoić...

- Myślę, że o to dokładnie mi chodzi.

- Dokąd pani jedzie? - Ottavia uniosła brwi w

zdumieniu.

- Do kliniki San Francesco - odparła Marisa. - Na dzień, a może dwa. Doktor Fabiano chce, bym zrobiła szczegółowe badania. - Spojrzała na swoje ręce. - A ponieważ mogę nie czuć się na siłach, by prowadzić, chciałam panią prosić, by mnie pani zawiozła i przywiozła z powrotem.

- A dlaczego nie Renzo?

Marisa milczała przez chwilę, po czym wyznała niechętnie:

- On o niczym nie wie.

- Nie powiedziała mu pani?!

- Nie. Ani o początkowych badaniach, ani o tym problemie. Może mu się to nie podobać.

- To kolejne ryzyko, które musi pani podjąć.

- Wolałabym sobie sama z tym poradzić. On ma dość kłopotów zawodowych. To jak, pomoże mi pani? Nie mam kogo o to poprosić.

Ottavia westchnęła.

- Skoro tak to pani stawia - pomogę. Ale proszę mnie zrozumieć - nie będę dla pani kłamać. Jeśli Renzo albo Guillermo zapytają, gdzie pani jest - powiem im. *Capisce* - rozumie pani?

- Tak. Ale jestem pewna, że to nie będzie konieczne, na pewno wrócimy przed nimi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie mogła powstrzymać płaczu. Od chwili, gdy spojrziała na poważne, zatroskane twarze u stóp swojego łóżka i zdała sobie sprawę, że jej trudny do wyjaśnienia niepokój jest jak najbardziej uzasadniony, łzy nie przestawały płynąć.

Kiedy lekarze niechętnie wyjawili jej, że jest problem - nie zwykła bezpłodność, którą można leczyć, ale jakaś deformacja, która, nawet gdyby jej się udało zająć w ciążę, uniemożliwiłaby jej donoszenie.

Odezwała się głosem, którego sama nie rozpoznawała:

- Ale przecież musi być jakiś sposób, żeby to naprawić. Może operacja...

Potem słuchała długiego wywodu pełnego terminologii medycznej, którego ostateczny wydzwięk brzmiał - nie. Nic się nie da zrobić. Nic...

W końcu udało się jej pozbyć współczujących pielęgniarek i mogła zostać sama ze swoim nieszczęściem.

Ale ponieważ *signora* potrzebowała pocieszenia, dyrektor kliniki - sądząc, że nikt nie będzie lepszy niż

starsza pani - wysłał do niej babkę jej męża, która właśnie przypadkiem była na miejscu.

- Co pani tu robi? - wyszeptała Marisa na jej widok.

- Przyszłam odwiedzić hrabinę Morico, która przeszła operację wszczepienia endoprotezy biodra. - *Signora* Barzanti rozsiadła się w jedynym fotelu i uśmiechnęła niemiło. - A tobie przynieść babcine pocieszenie. Czy raczej poczekaś aż Lorenzo wróci z Zurychu?

Marisa usiadła na łóżku i odgarnęła z twarzy mokre od łez włosy.

- Nie sądzę, by on chciał panią oglądać bardziej niż ja. Po tym, co nam pani zrobiła.

Babka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Wątpię, czy masz prawo mówić za mojego wnuka - oznajmiła. - Już nie. A problemy, które masz teraz, przyćmiewają wszystko, co ja mogę ci zrobić. Bo poniosłaś porażkę, *signora*. Według plotek, od których aż huczy w klinice, nie możesz mieć dzieci. - Zamilkła na chwilę. - A może jakimś cudem to nieprawda?

Obcy głos, który słyszała wcześniej, odpowiedział:

- Nie. To prawda.

Nonna Teresa kiwnęła głową ze straszliwą satysfakcją.

- Cóż za cios dla dumy Santangelich! W każdym razie chwilowy. Muszą przyznać się do pomyłki i żyć dalej. Biedny Guillermo. Tyle wysiłku na nic. A teraz jeszcze muszą postępować delikatnie, by ich nie posądzono, że są bezduszni, gdy zakończą to małżeństwo.

- O czym pani mówi?

- O tobie, Mariso. O tym, że pójdziesz w odstawkę, żeby Lorenzo mógł się ponownie ożenić. I następnym

razem, jeśli ma trochę rozumu, wybierze jakąś silną, płodną Włoszkę, która będzie znać swoje miejsce.

- To się nie stanie. Lorenzo nie uznaje rozwodów.

- Nie mówię o rozwodzie. Małżeństwo zawsze można anulować, jeśli się ma odpowiednie dojścia. A obaj panowie Santangeli mają ogromne wpływy. - Roześmiała się melodyjnie. - Bezpłodna żona nie będzie przeszkodą dla ich przyszłych planów, możesz mi wierzyć.

Marisa wpatrywała się w nią ze swego rodzaju przerażonym zafascynowaniem.

- Jak pani może to robić, *signora*? Jak może pani przychodzić właśnie teraz i wygadywać to wszystko?

- Bo jest mi ciebie niemal żal - odparowała. - Zostałaś kupiona w konkretnym celu, co sama przyznałaś. I, jak większość towarów uszkodzonych lub nieodpowiednich, zostaniesz wkrótce zwrócona. Ale twoje odejście będzie złagodzone - dodała niedbale. - Nie odprawią cię jako biedaczki. Guillermo już się o to postara. Mimo swojego godnego potępienia związku z tą Alesconi zachował dość szacunku dla mojej córki, by spełnić jej życzenia w tym względzie.

- Nie wierzę w ani jedno pani słowo - powiedziała Marisa trzęsącym się głosem. Sięgnęła po dzwonek obok łóżka. - I nie uwierzę. A teraz proszę stąd wyjść.

Babka nie ruszyła się z miejsca.

- Zawsze mnie pani nienawidziła. I nie lubiła pani mojej matki. Pamiętam, co pani wygadywała na jej temat, kiedy byłam mała.

- Masz rację - przyznała starsza pani. - Nienawidziłam twojej matki. Ale ty nic mnie nie obchodziłaś, chociaż należysz do znienawidzonej nacji. To Brytyjczycy są winni, że mój ukochany, szlachetny brat

zmarł jako jeniec w Afryce Północnej i został pochowany w jakimś nieoznaczonym grobie na pustyni. Świadomość, że jesteś przeznaczona dla mojego wnuka to obelga dla jego pamięci!

O mój Boże, myślała Marisa, to jakieś szaleństwo. Wojna skończyła się ponad sześćdziesiąt lat temu!

Teresa musiała być dzieckiem, kiedy to się stało. A jednak pielęgnuje w sobie taką urazę, taką nienawiść. To wiele wyjaśnia.

- Ale od dawna panuje pokój i wybaczenie - stwierdziła spokojnie.

- Cnoty, które ty podziwiasz? - Signora Barzanti odzyskała panowanie nad sobą. - No to będziesz miała okazję się nimi wykazać. Podpiszesz papiery anulujące twoje małżeństwo i odejdiesz w pokoju, zabierając ze sobą swój mały sekret? Czy narobisz jeszcze więcej kłopotu, upierając się, by zostać tam, gdzie nie ma dla ciebie miejsca?

Wstała i wygładziła spódnicę ciemnej sukni,

- Mówię to wszystko dla twojego dobra, rozumiesz? Nie ma sensu pogarszać tej sytuacji; jestem pewna, że to wiesz. Ze nie jesteś taka głupia, by... mieć nadzieję. Ponieważ rodzina Santangelich postąpi tak, jak musi, a ty możesz przetrwać albo dać się zmiażdżyć.

Podeszła do drzwi, po czym odwróciła się jeszcze raz do Marisy. W jej głosie drżała emocja:

- A jeśli sądzisz, że jestem okrutna, pomyśl, jak byś się czuła, wyciągając ramiona do człowieka, którego pożądasz najbardziej na świecie, a on by cię odtrącił. Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj zbliżyć się do Lorenza, kiedy tu przyjdzie. Jeśli się odważysz...

I już jej nie było.

Zanim usłyszała zamieszanie w korytarzu wskazujące, że przyjechał Renzo, Marisa zdążyła się przygotować wewnątrz. Postanowiła, że nie będzie płakać, nie będzie błagać. Nie podejmie ryzyka i nie będzie próbowała się do niego zbliżyć. Nie zniesie jego odrzucenia. Ale musi znaleźć siłę, by odejść i zbudować nowe życie. Bez niego.

Wszedł do pokoju, zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie. W oczach miał cień, usta posępnie zaciśnięte.

Marisa zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, w nadziei, że ją obejmie, że zrobi coś, co wszystko naprawi.

Jej milcząca prośba nie spełniła się, spytała więc spokojnie:

- Lekarze ci powiedzieli?

- Tak. Wiem wszystko.

- Przykro mi.

- Mnie też. Że nie powiedziałaś mi o swoich obawach. Że postanowiłaś stawić temu czoło sama i skazałaś mnie na wysłuchiwanie... takich rzeczy. Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie chciałam cię martwić, dopóki to nie było nic pewnego.

- Powiedziano mi, że musisz odpocząć. Wypiszą cię dopiero jutro. Muszę naradzić się z ojcem, a potem porozmawiamy. Ty i ja.

- A nie możesz powiedzieć mi tego, co masz do powiedzenia dzisiaj?

- Na to jest za wcześnie. Muszę pomyśleć. Jutro będzie nowy dzień.

- No to do jutra - nadludzkim wysiłkiem udało się jej to powiedzieć normalnym głosem.

Spojrzał na nią i dostrzegła cień dawnego uśmiechu.

- Do jutra, Maria Lisa.

Patrzyła, jak drzwi się zamykają. Jej ciałem wstrząsnęło łkanie.

Rzeczywiście, pomyślała, jutro będzie nowy dzień...

Amalfi wyglądało jeszcze piękniej na początku jesieni, chociaż Marisa nie wiedziała, dlaczego postanowiła tam wrócić, kiedy oczywistym wyjściem był lot do Anglii. Koniec końców jest współwłaścicielką galerii w Londynie. Czeka na nią praca.

Opuszczenie kliniki okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Tak więc obudziła się rankiem, ubrała i wyszła. Pojechała taksówką do Villi Proseprina. Upewniła się najpierw telefonicznie, że *signore* Lorenzo wyjechał bardzo wcześnie do swego ojca w Mediolanie. Nikt w domu nie zdawał się martwić jej nieobecnością. Prawdopodobnie sądzili, że postanowiła pojechać za mężem do Zurychu.

W kilka minut spakowała walizkę, wzięła paszport, a na kominku w *salotto* zostawiła list, który napisała do Renza poprzedniego wieczoru.

Posiedziała przez chwilę w słońcu w Casa Adriana. Niedługo, ponieważ od pani Morton dowiedziała się, że willa została sprzedana.

- Wkrótce zacznie się remont. Ktoś jeszcze musiał się zakochać w tym miejscu.

- Mam nadzieję, że Adriana będzie zadowolona - uśmiechnęła się do niej Marisa.

- Ach, więc to ta stara historia przywiodła tu panią znowu? Proszę zaspokoić moją ciekawość. Kiedy przychodziła tu pani przedtem, przy bramie codziennie

stawał jakiś młody mężczyzna i patrzył na panią. Wysoki i bardzo atrakcyjny.

Marisie zabrakło nagle tchu.

- Ktoś był pod bramą? Nie wiedziałam...

- Nigdy nie wszedł do ogrodu. Było mi przykro, bo wydawał się równie smutny, jak pani samotna.

Miałam nadzieję, że się odnajdziecie.

- Odnaleźliśmy się. Ale na bardzo krótko.

- Bo pani już była zameżna? Nie osądzam, moja droga, ale widzę, że teraz ma pani obrączkę.

- Tak - powiedziała spokojnie Marisa. - Bo byłam już zameżna.

Pani Morton zakończyła pracę i poszła do domu. Marisa zapatrzyła się w rozmigotane morze, a po policzkach płynęły jej łzy.

- Maria Lisa. - Mogła sobie wyobrazić ten głos zrodzony z tęsknoty, ale nie dłoń spoczywającą na jej ramieniu.

- Renzo! Co ty tutaj robisz?

- Szukam swojej żony. - Usiadł koło niej.

- Byłbym tutaj znacznie wcześniej, gdyby nie to, że zauważyłem brak twojego paszportu i straciłem czas na podróż do Anglii. Ale potem sobie przypomniałem to miejsce i zacząłem się zastanawiać.

- O Boże! - Głos miała chrapliwy. - Nie możesz okazać trochę litości i pozwolić mi po prostu odejść?

- Nigdy w życiu. Kocham tylko ciebie. Nie ma dla mnie nikogo innego. Chcę tylko ciebie.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i zaczął ją całować.

- Ale w szpitalu zachowałeś się jak ktoś obcy - zaprotestowała słabo.

- Powiedzieli mi, że jesteś załamana. Że nie mogłaś

się uspokoić. Tak więc musiałem być silny za nas obydwójce. I nie miałem śmiałości się do ciebie zbliżyć. Ani cię dotknąć, ani pocałować, *carissima*, bo też bym się zatracił. Płakałem dopiero wtedy, kiedy zniknęłaś. Pomyślałem, że może nie pokochałaś mnie przez te nasze ostatnie szczęśliwe tygodnie.

Dotknęła jego policzka delikatnie.

- Czułam się taka nieszczęśliwa, że chciałam umrzeć. Kochanie, twoja babka przysłała mnie odwiedzić i chociaż nienawidzę każdego słowa, które wypowiedziała, uważam, że ma rację.

- Dzwoniła też do mnie - stwierdził Renzo ponuro. - Oznajmiła, że jest jej mnie żal, ale ma nadzieję, że kiedy ty znikniesz, zachowam się rozsądnie i wypełnię swój obowiązek.

- Przecież gdybyś nie chciał dziecka, nie ożeniłbyś się ze mną.

- Kiedyś to mogła być prawda. Ale gdy stanęłaś obok mnie w kościele i nałożyłem ci obrączkę na palec, wiedziałem, że nie zamieniłbym się na miejsce z nikim na świecie. I że muszę cię nakłonić, byś poczuła to samo.

- To dlaczego mnie odesłałeś?

- Bo słyszałem, jak płaczesz i pomyślałem, że nie chcesz jednak być moją żoną.

- Nie - wyszeptała. - Płakałam, bo naprawdę pragnęłam tego dziecka. Kogoś, kogo mogłabym kochać bez zastrzeżeń.

- A ja chciałem, żebyś mnie pokochała. To ci pisałem w tych wszystkich listach, które podałaś bez czytania.

Zsunął się z ławki i położył jej głowę na kolanach.

- Weźmiesz mnie teraz, Maria Lisa? Uwierzysz, że

nasze małżeństwo znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie? Pokochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie, *mia adorata*, i nawet po tych smutkach, które teraz przeżywamy, zbudujesz ze mną wspólne życie?

- Tak - powiedziała, głaszcząc go po głowie. - Tak, mój najdroższy, tak.

I uśmiechnęła się do swojego męża.